Nr. 5 (1515). Warszawa, 29 stycznia 1910 r. **Rok XXX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 8. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Posiew reakcji.

Niejednokrotnie na tym miejscu zwracaliśmy uwagę na błędne poglądy polityczne, które rozpowszechniają się w naszym społeczeństwie, ze szkodą dla jego wiary w przyszłość, a co zatym idzie i energji.

Wśród błędów tych najbardziej szkodliwym jest mniemanie, że okres wolnościowy nic w Rosji nie zmienił, że, jak się wyraża p. B. Kutyłowski w Nr. 36 *Słowa* „wszystko, niestety, jest, jak było".

Mniemanie to wszakże nie zgadza się z rzeczywistym stanem rzeczy.

Dość porównać I tom *Zbioru praw* z przed 1905 roku z tymże tomem według kontynuacji z 1906 roku, aby przekonać się o zmianie, jaka zaszła w prawach zasadniczych państwa rosyjskiego; dość porównać instytucje prawodawcze dzisiejsze z dawnymi, przypomnieć ukaz o tolerancji religijnej, zniesienie cenzury prewencyjnej, możność krytyki działalności organów władzy, autonomję uniwersytetów i t. p., ażeby dojść do wniosku, że jednak coś się zmieniło.

Zapewne, że reakcja stara się wszystkie swobody unicestwić, ale ma to już inny, jak dawniej charakter. I chociaż rząd i stojące za nim żywioły społeczne dalekie są w tej chwili od ducha choćby najciaśniejszego konstytucjonalizmu, a swoboda obywatelska zupełnie zależna od samowoli biurokracji, nie możemy powiedzieć, że „wszystko jest, jak było". Owszem, nietylko na papierze, ale i w życiu zaszła zmiana zasadnicza.

Za czasów *ancien regime'u* rząd uciskał społeczeństwo, dziś prowadzi z nim walkę.

Jest to zupełnie co innego, i ten właśnie stosunek rządu do społeczeństwa, tak różny dziś od stosunku dawniejszego, nietylko zmienia zasadniczo położenie, ale nosi w sobie zarodek zupełnie innej przyszłości.

Droga, którą kroczy Rosja na drodze do przeobrażenia swego ustroju państwowego, jest tak banalnie podobna do drogi, po której szły państwa zachodnie, że reakcja obecna, zapewne nie pożądana i gotująca Rosji nie mało wstrząśnień, w przyszłości dziwić nas nie powinna.

Wszak Anglja, która w XIII stuleciu rozpoczęła budowę swego ustroju, wśród bezustannych walk władzy królewskiej z narodem, dopiero w 1832 r. doszła właściwie do celu, a zdobytą na Janie Bez Ziemi w 1215 r. *Wielką Kartę swobód*, drogą rewolucji, potwierdzać musiała w 1689 r. przez *Habeas corpus Act*.

Francja, która w 1793 r. stworzyła już konstytucję republikańsko-demokratyczną, zresztą nigdy nie wprowadzoną w życie, po wieloletniej reakcji, wśród której tylko krótkotrwała republika 1848 r. powróciła do zasad 1793 r., dopiero w 1875 r. doszła do republiki demokratycznej.

Król pruski już edyktem z dnia 22 maja 1815 r. obiecuje dać swemu narodowi konstytucję pisaną i zgromadzenie reprezentacyjne, po wielu walkach i przejściach od liberalizmu do absolutyzmu, zwołuje w 1849 r. *Landtag*, który żąda spełnienia obietnic z 1815 r. Dopiero wskutek rewolucji 1848 r. zwołana została konstytuanta, w tymże roku jednak rozwiązana, podobnie jak i izby, zwołane w 1849 r. Zmieniona wreszcie ustawa wyborcza (zupełnie jak w Rosji), obecnie jeszcze obowiązująca, która wprowadziła do sejmu 200 urzędników, (t. zw. *Landrathen—Landtag*) potwierdziła konstytucję, nadaną przez Fryderyka Wilhelma IV.

Austrja, na której ustrój państwowy roku 1848

pozostał bez trwałego wpływu, dopiero w 1860 r. weszła na drogę konstytucyjną, w tym roku bowiem stworzono *Reichsrath* dla całego państwa.

W 1861 r. po krótkotrwałym powrocie do centralizmu, ogłoszona została nowa konstytucja, zawieszona jednak w 1865 r. Dzisiejszy swój ustrój zdobyły Austro-Węgry w 1867 r.

Reakcja więc, panująca w Rosji sama przez się nie stanowi zjawiska specyficznie rosyjskiego. W podobny sposób zdobywały konstytucję i państwa Europy Zachodniej.

Rzecz naturalna, że nie przesądza to zupełnie szczegółów kierunku, w jakim się potoczą dzieje Rosji, choćby z tego względu, że i układ stosunków międzynarodowych może zupełnie nieprzewidziane sprowadzić komplikacje. Wewnętrzne warunki życia rosyjskiego są również odmienne od zachodnio-europejskich. Rosja przeżywa swój przewrót wewnętrzny zbyt późno, a wielki jej obszar, znaczna ilość obcych plemion, bezwładny charakter narodowy, nizki rozwój przemysłu, olbrzymia przewaga małokulturalnego ludu wiejskiego, niewielki rozwój miast, brak wszelkich tradycji wolnościowych—są to wszystko okoliczności, które rozwojowi państwowemu Rosji specjalne nadają cechy. Ale nie mogą one mieć znaczenia dla ostatecznych rezultatów, jak nie miały go odrębności narodowe dla Turcji, Japonji i Persji, które, pomimo swego niepodobieństwa do państw zachodnich, stworzyły jednak takie same, jak i one, państwa konstytucyjne.

Jeżeli z tego stanowiska spojrzymy teraz na to, co się dzieje w Rosji obecnie, nie będziemy mogli chyba powiedzieć, że tam się nic nie zmieniło, że wszystko jest tak, jak było.

Reakcja dzisiejsza jest tylko momentem historycznym, który rozważać należy w związku z przeszłością i z widocznymi zarodkami przyszłości, a wtedy przedstawi nam się ona zupełnie inaczej.

I bardzo ważnym jest dla społeczeństwa polskiego, aby właśnie z takiego historycznego punktu widzenia patrzyło ono na wypadki chwili bieżącej, którą ciężko się przeżywa, ale się przeżyje.

Posiew pesymizmu i zniechęcenia przez żywioły reakcyjne u nas ma na celu odwrócenie uwagi społeczeństwa od wszelkich dalszych i rozleglejszych celów politycznych, aby skupić ją na tak drogich reakcji sprawach realnych.

I dlatego wszelkimi siłami stara się ona wpoić w społeczeństwo przekonanie, że sprawy podatkowe, drogowe i t. p. są w tej chwili jedynie ważne i możliwe, bo w Rosji nic się nie zmieniło i nie zmieni. Ale to jest nieprawda.

Nietylko zmieniło się, ale, pomimo ciężkich chwil, które Rosja przeżywa, przewidzieć można w ogólnych zarysach, w jakim kierunku pójdą dalsze zmiany.

I jeżeli p. Kutyłowskiemu rzeczywiście o nie chodzi, to nie powinny go zrażać objawy, nie świadczące „bynajmniej na korzyść tezy, że czasy burzliwe minęły bezpowrotnie, że rządy obecne wprowadziły ład i porządek i wiodą kraj ku lepszej przyszłości”.

Wybory angielskie.

Niezwykły interes, z jakim świat polityczny śledzi wynik wyborów angielskich, ma swoje źródło w uznaniu wielkomocarstwowego stanowiska W. Brytanji. Takim było ono nawet w epoce, gdy szkoła manchesterska głosiła zasadę nieinterwencji i gdy lord Goschen, z odcieniem gorzkiej dumy podnosił „splendid isolation” do znaczenia przewodniczącej zasady politycznej.

W zeszłym wieku tylko plebiscyt napoleoński i głosowanie rozstrzygające o zwycięztwie Gambetty nad koalicją klerykalno-dynastyczną, skupioną pod nominalnym przywództwem Mac Mahon'a, obudzały zajęcie podobne do tego, z jakim patrzymy na kampanję wyborczą poza kanałem. Przyczyną tego nie jest bynajmniej obawa lub przewidywanie jakichś nagłych zmian w zewnętrznej polityce angielskiej. Tam naczelną zasadą wszystkich kierowników tej sfery działalności państwowej jest tradycja ciągłości. Ulegając jej, teraźniejszy minister Edward Grey nie wprowadził żadnych widocznych inowacji do polityki swe-

---

16)

Sibilla Aleramo.

KOBIETA

przełożyła z włoskiego

STANISŁAWA GALLONE.

(Ciąg dalszy).

We łzach myślałam o tym, że był przy mnie od pierwszych prawie chwil mego małżeństwa: sześć lat! Oboje tak różni od otaczających ludzi, oboje tak bardzo smutni. Przez sekundę jego dusza wybiegła na spotkanie mojej: czułam to. Czy kochałabym go? Czemu nic nie rzuciło nas sobie w ramiona, nie złączyło naszych energji, które być może były jednakie? Może brakło jakiegoś jednego słowa, jednego bodźca?

Przeznaczenie! Zniknął, myśląc może, że unosi ze sobą swą tajemnicę. Zostałam bardziej samotną, niż kiedykolwiek, dla jakiego celu w przyszłości uchroniona przed nienawiścią i miłością?

Nie przypominam sobie ostatnich dni spędzonych w miasteczku, żadnego szczegółu...

Widzę wybuchające płaczem dziecko, gdy kazałam mu pożegnać pokój, w którym urodził się i wzrastał, i z którego wyniesiono już meble. Mam jeszcze wrażenie silnego ściśnięcia krtani, gdy poszłam do domu ojca, by pożegnać go i wydobyć zeń choć jedno dobre słowo, a otrzymałam kilka szorstkich zdań, przerwanych wzruszeniem ramion. Jak przez mgłę, widzę inne jeszcze bolesne sceny: moją bratową, obrzucającą ordynarnymi słowy me przerażone siostry, które przyszły do jej domu pożegnać mnie w ostatniej jeszcze chwili odjazdu, teściową, płaczącą i narzekającą bez końca, wreszcie ostatnie odwiedziny mej matki: próżne wzywanie przeszłości, tortura tego spojrzenia bez wyrazu, tego ochrypłego głosu, którym śmiała się...

Morze, wieś, ulice, przedmieścia w końcu tego września miały wygląd łagodny, znużony nieco, i słały mi na pożegnanie najpiękniejszy wyraz swej duszy...

Po raz pierwszy od lat jedenastu, to jest odkąd je ujrzałam, opuszczałam je, idąc na spotkanie *niewiado-*

go poprzednika lorda Lansdowne'a i, gdyby ten ostatni powrócił teraz na poprzednie miejsce, pozostawiłby również główne kierunki dyplomacji angielskiej bez zmiany. Rozumiemy wszakże, iż nowe osobistości w zarządzie państwa mogą w pewnych granicach znacznie modyfikować tradycyjną ciągłość polityczną, zwłaszcza że położenie Anglji, prawie sprzymierzonej z Francją i zbliżonej do Rosji a zostającej w wyraźnym antagonizmie z Niemcami, jest dzisiaj całkiem różne od tego, jakim było przed rokiem 1906. Na widnokręgu ogólnej polityki europejskiej wysunęły się plany, w których możliwość czynnej akcji angielskiej staje się bardzo prawdopodobną.

Z drugiej znów strony nietylko bezpośrednio polityczny interes decyduje o znaczeniu wyborów powszechnych w tym kraju. Walka obecna miała za punkt wyjścia ideowego podstawy reformy ustroju państwowego i społecznego i toczy się o zwycięztwo, albo przynajmniej o koordynację ich w stopniowym wprowadzaniu w życie, czyli o przewagę w najbliższej przyszłości kierunku radykalnego lub konserwatywnego w ogólnej polityce angielskiej. Różnice w tej sferze okazać się mogą nader doniosłe w skutkach. Główny punkt sporny pomiędzy dwoma wielkimi stronnictwami, budżet, przyjęty ogromną większością w Izbie Gmin i odrzucony *a limine* przez Izbę Lordów, może być w nowym składzie Izby rozstrzygnięty w sposób, który stanowczo przeniesie oś zasadniczą konstytucjonalizmu angielskiego z dotychczasowej podstawy, jeżeli zostanie uznaną powaga lordów w kwestjach skarbu i podatków.

Kto wie, czy nie ważniejszym jeszcze faktem byłoby przerzucenie się od zasady wolnego handlu do taryfy protekcyjnej, gdyż musiałoby stanowczo spowodować nowe unormowanie stosunków tak z przyjaciółmi, jak i z rywalami zagranicznymi Anglji. Z pierwszymi pociągnęłoby to za sobą jaknajwiększe zbliżenie, z drugimi zaś mogłoby wywołać odwetową wojnę taryfową, która często w historji bywała poprzedniczką „nieuniknionego starcia".

W rzędzie możliwości, przewidywać się dających z okazji wyborów angielskich, nie można także pominąć długiego okresu wzrastających z roku na rok wydatków budżetowych na uzbrojenia armji i marynarki, gdyż tylko silni mogą brać udział skuteczny w staraniach o utrzymanie właściwej równowagi międzypaństwowej.

Radykalne postulaty zapoczątkowane praktycznie po raz pierwszy w świecie w budżecie Lloyd-George'a stały się wzorem, od którego stronnictwo liberalne w Angli odstąpić już nie może.

Doświadczenia polityczne Anglji znajdują u innych narodów tym chętniejsze przyjęcie, że wspiera je wiara w trzeźwość i rozum polityczny angielskich mężów stanu. Zwycięztwo konserwatystów na wyborach teraźniejszych oddziałałoby niewątpliwie osłabiająco na radykalizm europejski, który w ostatnich czasach, nawet we Francji powstrzymał nieco swą pracę konstytucyjną. Ani postępowy podatek dochodowy, ani emerytury dla starców, ani reforma wyborcza nie zdołały tam przedostać się dotąd na porządek dzienny bieżących spraw politycznych. *Temps* z przyjemnością widzieć będzie unjonistów u steru władzy państwowej w Anglji.

Francja chciałaby widzieć swego sprzymierzeńca uzbrojonym od stóp do głów, aby oparta na nim, mogła odgrywać rolę wielkomocarstwową zaszczytniej niż w konflikcie marokańskim. Z obrotu rzeczy, skutkiem którego władza miałaby przejść do konserwatystów, najwięcej byłby niezadowolony rząd niemiecki, pomimo tego, że półurzędowy jego dziennik *Kreuz. Ztg.*, przewidując taką możliwość, pospieszył z obłudnym zapewnieniem, jakoby „silny rząd angielski dawał Niemcom lepsze rękojmie zaprowadzenia wzorowych stosunków międzynarodowych, niż rząd radykalny". Napróżno dziennik pruski chce łudzić świat sympatją dla radykalistów w państwie, gdzie kierunek polityczny wszystkich spraw zostaje wyłącznie w ręku junkrów, agrarjuszów i klerykałów.

Sądząc z objawów usposobienia postępowych kół we Francji, we Włoszech, w Szwecji a nawet w Hiszpanji, gdzie skwapliwie roztrząsano i podzielano radykalne poglądy budżetu angielskiego, trzeba dojść do wniosku, że gdyby ten budżet zdołał wytrzymać próbę kampańji wyborczej, stałby się niewątpliwie nietylko punktem wyjścia dla dalszego rozwoju postępowego W. Brytanji, ale nadto wzorem powszechnym dla skarbowości europejskiej. Zachęciłby bojaźliwych, choć może pełnych dobrych chęci polityków w innych krajach i stałby się bodźcem dla ambitnych. W każdym razie byłby hasłem dla lewego skrzydła postępowców na całym świecie w walkach ich przeciw zapędom konserwatyzmu i burżujskiego moderantyzmu. Pod przewodnictwem Anglji nasz stary kontynent, ociężały i niepewny posunąłby się prawdopodobnie raźniej na wyżyny kultury, na które wdziera się dotąd nieśmiało i z trudem. Tymczasem o losach walki wy-

---

mego. Jedenaście tragicznych lat, podczas których istota moja kształtowała się we łzach: we łzach buntu, we łzach poddania się, a nawet we łzach wdzięczności dla niezbadanej Tajemnicy.

Rzucałam je bez spojrzenia, prawie uciekając przed nimi, jakgdybym obawiała się zauważyć w ich cieniu szyderczy śmiech, wywołany mym zbyt późnym wyzwoleniem.

XV.

Po niebie płynęły oświetlone słońcem chmury, zmienne i nieprzerwane; place, fontanny, domy, kopuły, rzeka i sosny odcinające się konturami na horyzoncie, pustkowie, wsi i góry dalekie — wszystko zdawało się posuwać za ich wolnym biegiem, wszystko było, jak one zatopione w złotym świetle i, jak one zdawało się płynnym i wiecznym.

I ja przeszłam już niegdyś pod tym niebem, w które wpatrywałam się teraz, i wówczas dusza moja olbrzymiała na widok tego lazuru nieskończonego. Czyż nie byłam tą samą jeszcze? Czyż nie rozpoczynała się dopiero teraz młodość moja? Rzym należy do ducha, który go pragnie silnie; daje wszystko, czego się pragnie całą potęgą duszy. I może nie był daleki dzień, w którym jednym spojrzeniem pojęłabym to miasto, odczułabym je jednym uderzeniem mego serca...

Tymczasem jaka roskosz i upojenie przyglądać się długim, płomiennym zachodom słońca z tarasu naszego czwartego piętra, z którego miałam widok na Tybr i Monte-Mario, po długiej pracy w ciszy mego pokoju.

Zdaje mi się niemożliwym opisanie pierwszych miesięcy mego życia w Rzymie, tak jak niemożliwym mi było opisanie mego dzieciństwa.

Nie umiem uprzytomnić sobie szeregu wrażeń, życia, drgającego podnieceniem zewnętrznym, widoku obrazów, echa dźwięków...

Miasto upojenia i pokoju!

Starając się zwolna przenikać piękno i potęgę miejsc świętych, radośnie zwiedzałam części miasta współczesnego, które podniecały moją energję, posiadaną w okresie mego dojrzewania. Lecz nieraz podczas zgiełku, gorączkowego życia, znajdowałam się nagle wobec obrazów ciszy i snu, przeniesiona w daleką przeszłość, w epoki nieznane mi prawie, a jeżeli, to z legiend tylko. A nieraz równie nagle miałam przed oczyma niespodziewane przejawy cywilizacji bliższej,

borczej, w chwili pisania niniejszego artykułu niepodobna jeszcze orzekać z pewnością.

Ostatnie znane nam cyfry głosowania podają rezultaty z 497 okręgów wyborczych. Sytuacja chwilowo przedstawia się stanowczo na korzyść unjonistów.

W porównaniu ze składem osobistym poprzedniej Izby Gmin, stosunek liczebny stronnictw w nowym parlamencie tak się przedstawia:

	Stara Izba.	Nowa Izba.
Radykaliści	364	182
Labor Party	55	32
Nacjonaliści	83	66
Unjoniści	168	217
Razem	670	497

Brak jeszcze w tej chwili wiadomości o wyborach w 173 okręgach, z których 143 znajduje się w Anglji, Szkocji i w Walji.

W roku 1906 podczas ostatnich wyborów weszło z tych okręgów do parlamentu 114 radykalistów i 29 unjonistów. Gdyby taki stan rzeczy utrzymał się i teraz, większość obecna pozostałaby na swoim miejscu, jakkolwiek dość uszczuplona. Nawoływania konserwatystów do „opodatkowania cudzoziemców" i wyciąganie groźby niebezpieczeństwa narodowego, skutkowały na wyborców widocznie bardzo silnie, skoro zdołały tak znaczną ich ilość nawrócić do planów Chamberlain'a, które dotychczas spoczywały jakby zamarłe w umysłach ludu angielskiego.

St. Pyrowicz.

LIBERUM VETO.

Wyczerpana ofiarność.

Najtrudniejszym zagadnieniem, nad którym mozolą się u nas głowy, zajęte sprawami społecznymi, jest trudność wydobycia dla nich pieniędzy. Krzewienie kultury, zwłaszcza forsowne, pobudzające do nadmiernych wysiłków dla przeskoczenia opóźnień i odrobienia zaległości, wymaga znacznych nakładów i ofiar. Społeczeństwo musi spełniać nietylko to, co należy do obowiązków i zadań prywatnych, ale także to, co gdzieindziej spełnia państwo, które nam dla naszego własnego dobra nic nie daje, przeciwnie, utrudnia i kupuje samopomoc. Ażeby — już nie biec — ale przynajmniej posuwać się w postępie, potrzebujemy wielkich sum. Kto je składa? Kto dostarcza jednostkowym i zbiorowym przedsięwzięciom kulturalnym środków? Prawie wyłącznie ci, którym nic nie zbywałoby, gdyby chcieli zadowolić swoje potrzeby, ci, których całoroczny dochód nie przewyższa lub niewiele przewyższa pensję palacza przy wielkopańskim samochodzie. Jeszcze klerykalne zakłady wychowawcze cieszą się, dość skąpymi zresztą, łaskami arystokracji i śmiesznych jej małp w szlachcie i bogatym mieszczaństwie; ale wobec innych organizacji społecznych zachowują się te żywioły z niemniejszą obojętnością a nawet nienawiścią, niż biurokraci, usiłujący je zgładzić. Całe szeregi naszych bogaczów żyją i kładą się do grobu bez myśli i chęci dania jakiejkolwiek ofiary ogółowi. Ogłaszone w pismach testamenty bohaterów, przejeżdżających tryumfalnie do wieczności na karawanach pierwszej klasy, świadczą o niesłychanie drobnym ich kalibrze. Trzeba się zdumiewać nad mnogością i małością tych karlików, którzy swą kasę żelazną uważają za sanctuarium a ruble za komunikanty, którzy pragną tylko wynagradzać swych obsługiwaczów za życia i po śmierci. Zapisy dla wiernych lokajów, dla zbudowanych i budujących się kościołów, garść pieniędzy dla jakiejś ochrony lub stowarzyszenia dewockiego — oto cała ich wspaniałomyślność obywatelska. Na Zachodzie Europy i w Ameryce są strasznie żarłoczne rekiny kapitalizmu; ale przynajmniej nałykawszy się zdobyczy, umieją wielką z niej część oddać społeczeństwu w jakiejś potężnej fundacji. Nasz szczupak, gdyby nawet połknął całą kulę ziemską, pomyślałby tylko o tym, ażeby go po zgonie błogosławili za hojność lokaje i księża. Potrzeb narodu on nie rozumie, do szlachetnych uniesień jest całkiem niezdolny, umysłowo ograniczony, uczuciowo wystudzony, gdyby nawet zechciał poświęcić nieco ze swych bogactw, nie wie, jaki z nich zrobić użytek. Szczerze mówiąc, taki dostojny obywatel jest bezmiernie głupi, stoi niżej w pojmowaniu życia od swego ekonoma lub kamerdynera. Jego przodkowie albo gonili za tłustymi kęsami i zdobnymi obrożami, albo nagłym obrotem koła Fortuny z ubóstwa przerzuceni zostali do zbytku. Nasza arystokracja nie żyje wspomnieniami miłości i czci dla nauki i sztuki, wspaniałomyślności dla ludu, wrażliwości na głębokie cierpienia narodu — jest skastowana, skąpa, chciwa, fanatyczna, pojmująca jedynie przerobione na swój sposób hasło proletarjackie: bogaci próżniacy wszystkich krajów łączcie się!

---

bardziej mi znanej, i nieraz czułam przy sobie jakby obecność duchów wielkich jeszcze nie zgasłych, jeszcze nie zupełnie oddalonych od ziemi, na której pozostawili niezatarte ślady. Gdy byłam sama, lub z małym tylko, i gdy nic z zewnątrz nie niepokoiło mnie, wzruszenie rozrywało mi piersi łkaniem. Przyszłość zaćmiewała się, oddalała, teraźniejszość stawała się coraz bardziej nieprzeniknioną. I ja, mała, drobna, obok mego małego ginęłam prawie w mej świadomości.

Wstrząsało mną przeczucie nowego słowa, które życie miało mi powiedzieć jeszcze. Wiedziałam, że dokoła kamiennych kolum, wyobrażających wielkość minioną i mierność teraźniejszą, ciągnie się krąg nędzy, zbiorowisko istot, których społeczeństwo zdawało się nie zauważać, a pośród których może fermentowała tajemnica jutra.

Kto mówił mi o nich tak prędko po przyjeździe?

Ach, to ty „dobra matko" moja, matko wszystkich, których spotkałaś w życiu! Tego dnia, w którym po raz pierwszy zobaczyłam cię, byłaś w swym schronieniu na Gianicolo.

Sciany pokryte fotografjami osób sławnych i nieznanych, wielkich ludzi i dzieci. Biurko szerokie, zasłane papierami. I ty, nieco pełna i pochyła, z rysami podobnymi do rysów mej matki, natychmiast nazwałaś mnie córką; i wziąwszy syna mego na kolana, przyglądałaś nam się długo swymi słodkimi oczyma, jakbyś chciała przeniknąć tajemnicę naszego stopienia się ze sobą.

Co odgadłaś? Nigdy, nigdy żadne spojrzenie nie przeniknęło mnie tak gwałtownie. I kiedy zaczęłaś mówić o niektórych swych czynach, spełnianych w ciągu tylu lat nadzwyczajnego pragnienia sprawiedliwości, zdawała mi się, że milcząco zetknęły się nasze dusze...

Potym... Potym praca pochłonęła mnie. Redakcja *Mulier'a* znajdowała się na Piazza di Spagnia. Chodziłam tam dwa lub trzy razy tygodniowo; lecz według umowy pracę mą, polegającą na streszczaniu i tłumaczeniu artykułów z zagranicznych pism feministycznych, wykonywałam w domu. Redaktorka przyjęła mnie bardzo serdecznie. Zdumiona była moją młodością: pisałam rzeczy tak poważne „z tą twarzą małej Madonny".

Szybko zrozumiałam, że imię jej dla przeglądu było prawie jedynie tylko znakomitą firmą; w rzeczywistości rządził wszystkim wydawca, mały, rudy czło-

Bogate mieszczaństwo — poza nielicznymi wyjątkami — nie posiada własnego stylu, własnych ambicji, własnego widnokręgu. Przeważnie ze świeżych dorobkiewiczów złożone, wykręca na wszystkie strony głowy, szukając wzorów do naśladowania i ulega ogłupiającemu wpływowi możnowładztwa. Poddają mu się również karetowi żydzi, odzyskujący czasem niezależność po śmierci o tyle, że pozostawiają legaty nie instytucjom nowozakonnym, ale starozakonnym, nie kościołom, ale bóżnicom. Opinja publiczna, w znacznej mierze wytwarzana przez niewolników i sługusów jakiejkolwiek władzy i siły, nietylko nie oburza się na kretynizm i sobkostwo utytułowanych i pozłacanych patrycjuszów, ale ciągle podaje im baty i lejce dla furmanienia na rozmaitych wozach społecznych. Są u nas stowarzyszenia chudopałków, które nie mogą sobie wyobrazić, ażeby im nie prezesował jakiś hrabia lub książę, który *nb* szczerze nimi gardzi. Prawie każda nasza instytucja przemysłowo-handlowa musi mieć w swym placku taki rodzynek. A warto przejrzeć tę galerję patronów. Kilkakrotnie uczestniczyłem w zebraniach szanownych demokratów, uważających za niewzruszoną zasadę, że na czele ich instytucji musi stanąć książę lub hrabia i przyznających, że właściwie żaden tego nie godzien. Jak oni tych książąt i hrabiów przeprowadzali przed sobą, jak stwierdzali ich nicość i jak wreszcie godzili się na najmniej szkodliwego! Była to prawdziwie Momusowa rewja.

Równie komiczna i równie gorsząca odbywa się tylko przy oglądaniu potrzebnych do jakiegoś użytku społecznego „zacnych kapłanów".

W sumie ofiar na przedsięwzięcia kulturne arystokracja daje najwyżej 1%, kler nie daje nic, a 99% pokrywają ludzie średnio zamożni lub biedni. Sama młodzież szkolna składa na ten cel więcej, niż wszyscy możnowładcy. Ale kilka lat ciągłego wypompowywania ubogich warstw społecznych wyczerpało je zupełnie. Dziś już trudno z nich coś wydobyć a z wielu stron słychać skargi na przeciążenie. Ludzie poprostu uciekają przed znanymi kwestarzami i kwestarkami i doznają dreszczów na widok biletów koncertowych lub odczytowych. Jednocześnie najpożyteczniejsze instytucje społeczne chudną, słabną lub zamierają z braku środków. Większość ich zadaje sobie ciągle pytanie: co począć? W odpowiedzi to tylko jest pewne, że dłużej pustych kieszeni ssać nie można. Trzeba szukać innych źródeł. Nie założymy takich kooperatyw, jak Belgowie lub Niemcy, którzy z nich wydobyli olbrzymie dochody na prace kulturalne: nie posiadamy bowiem do tego ani pomyślnych warunków, ani odpowiedniego materjału ludzkiego. A jednakże za tym przykładem pójść trzeba. To znaczy: trzeba zakładać zbiorowo przedsiębiorstwa dochodowe, przedewszystkim stowarzyszenia współdzielcze, których czyste zyski przeznaczanoby na podtrzymanie instytucji społecznych — szkół, towarzystw kulturalnych, organizacji naukowych i t. d. Należy się wyzwolić nietylko od jałmużny bogatych, ale od ofiarności ubogich. Dlaczego szkoła, której wpisy nie pokrywają wydatków, nie miałaby posiadać własnego, dobrze prowadzonego sklepu, w którym nietylko rodzice uczniów nabywaliby towary, ale uczniowie na zmianę pracowali godzinę lub dwie dziennie? Dlaczego towarzystwo naukowe nie miałoby mieć księgarni lub drukarni współdzielczej? Nie jest to bynajmniej utopja, są to sposoby gdzieindziej wypróbowane, które u nas niewątpliwie powiodłyby się, gdybyśmy tylko zgromadzili odpowiednich ludzi, t. j. takich, co nie chcą kłamać, oszukiwać, próżnować, hulać, z dnia robić noc a z nocy dzień, wyciągać ręce po jałmużnę lub pożyczkę, lecz szczerze i rzetelnie pracować. Tylko tego nam brak, ażebyśmy mogli stworzyć mocną demokrację. Tylko!...

Poseł Prawdy.

NA DOBIE.

Zebranie dyskusyjne w P. Z. P.

D. 18 b. m. pod przewodnictwem p. Kłobukowskiego odbyło się zebranie dyskusyjne, na którym p. Wincenty Lemański wygłosił referat o sprawie narodowościowej w Austrji.

Austrja nie jest już krajem niemieckim, za jaki chce uchodzić, ale przeważnie słowiańskim i Niemcy w niektórych krajach, jak np. w Czechach chcą już tylko zachować swój stan posiadania; — wpływy jednak dynastji, bogactw i oświaty niemieckiej długo ich jeszcze utrzymają w wielu krajach na pierwszorzędnym stanowisku. Przechodząc do bliżej nas obchodzących stosunków polsko-rusińskich w Galicji, mówca zaznacza niemożność terytorjalnego rozgraniczenia, jak tego chcą Rusini — wobec pomieszania obu narodowości i spolonizowania miast ze Lwowem włącz-

---

wieczek, niezmiernie czynny. Znakomita powieściopisarka, lat około czterdziestu, mogąca podobać się jeszcze, dzieliła czas swój między powieści, rodzinę i salon. Sława jej datowała się od lat piętnastu, i teraz znajdowała się w okresie, w którym zaczyna się obawa, że popularność wzrastać już nie będzie i że zostanie się zapomnianą. Być może dlatego pochwyciła nadającą się okazję zwrócenia na siebie uwagi publiczności.

Kilka kartek znakomitej analizy i spostrzeżeń stanowiły całą wartość jej twórczości, zbyt obfitej i zbyt mało przemyślanej W ostatnich czasach przyjęła dążenia kobiet nowoczesnych życzliwie, lecz bez przejęcia. Nie mając żadnej skłonności do apostołowania, nie oburzała się, widząc, że jej przegląd otwarcie nabiera charakteru spekulacji handlowej. Poza jej obojętnością, działalność wydawcy zdawała mi się symbolizować grupę interesów zagrożonych nowymi dążeniami kobiet. Ten mały mieszczuch o wyglądzie prawie nędznym, w zniszczonym ubraniu, zawsze zamknięty w zakurzonym pokoiku obok gabinetu redaktorki, był przedstawicielem handlarzy, bogacących się na próżności, wkręcał ich reklamy między utwory kobiet—artystek, między rozprawy feministek lub między przestrogi i pocieszenia matek.

Model przyszedł z Paryża, tak jak na kapelusze. Dobry smak redaktorki i spryt wydawcy nadawały pewną spoistość niezgodnym ze sobą rzeczom, drukowanym w przeglądzie. W ten sposób organ ten mógł dostać się do najróżnorodniejszych środowisk i. mogąc zająć przez kwadrans kobietę o głębszej kulturze, pięknym próżniaczkom mógł być może nasunąć niejasne pojęcie o egzystencji poważniejszej, intensywniejszej, rozwijającej się równolegle z ich egzystencją, i może mógł zbudzić w nich niepokojące przeczucie burzenia się całego nowego świata kobiecego.

Wszystko to dalekie było od nakreślonego w chwili zapału programu. W pierszych dniach czułam się tym prawie poniżoną i jedynie, by nie wywołać sarkastycznych uwag mego męża, zabrałam się do pracy, trudnej dla początkującej dziennikarki.

Mąż mój nie mógł przebaczyć mi, że wciągnęłam go w chaos miasta, leniwie zabierał się do swego przedsięwzięcia; przez tyle lat przyzwyczajony do pracy regularnej i mechanicznej, męczył się swą wolnością i odpowiedzialnością, nie umiał naznaczyć sobie codziennego celu i obserwował mnie z zazdrością,

nie, i twierdzi, że walka ta ma prócz narodowościowego podkład ekonomiczny, a po części i wyznaniowy, gdyż pop galicyjski jest głównym agitatorem politycznym.

Rusini prowadzą walkę od dołu, Polacy od góry przez ucisk biurokratyczny. Nie mogą też oni przejść do opozycji, obawiając się, by Wiedeń nie faworyzował Rusinów — gdy dotąd oni są faworyzowani na niekorzyść Rusinów np.: przy ordynacji wyborczej, kwestji otwarcia oddzielnego uniwersytetu i t. d.

Żadne też z dotychczas rządzących stronnictw nie może zapoczątkować ugody z Rusinami, nie chce bowiem abdykować z dominującego stanowiska. Jedynie wskazanym do tego jest rozwijające się dopiero stronnictwo ludowe — które jednak dotąd nie mogło wystąpić z własnym programem i może to uczynić dopiero, gdy będzie panem sytuacji w kraju.

Co do żydów galicyjskich, to nie opowiedzieli się oni szczególniej w Galicji Zachodniej dotąd ani za Polakami, ani za Rusinami, gdyż czekają, po której stronie będzie zwycięstwo; pójdą za silniejszymi, gwoli zachowaniu z nimi interesów handlowych — co do języka, to prawdopodobnie uznają za swój żargon, który z czasem zastąpi niemiecki.

W dyskusji nad referatem p. Józef Lange w dłuższym przemówieniu podniósł znaczenie rewolucyjnej daty 1848 r. — kiedy pojęcia socjalno-demokratyczne i narodowościowe przeniknęły do mas uciskanych przez absolutyzm i kapitalizm.

Szowinistyczne partje rządzące tłumią jednak dotąd wyzwoleńcze dążenia mniejszości narodowych i tylko w miarę zdobycia wyższej kultury, zmniejszyć się może napięcie tej walki.

P. Łypacewicz — potwierdzając to zdanie, zaznacza, że szowiniści, odrzucając kulturalne, wyzwoleńcze ideje, zarzucają im, że nie wypływają one z duszy narodu, lecz są obcymi naleciałościami. Na dnie tego tkwią szlacheckie przeżytki klasowe, dążące do obrony stanu posiadania w kraju i na kresach.

W kwestjach sporów narodowościowych, które toczyć musimy na wielu frontach, wewnątrz kraju i na kresach, przeciwnicy nasi walczą w imię różnych zasad — stosownie do tego, której im użyć dogodniej, jednak zawsze w tej walce stać musimy na stanowisku demokratycznym.

P. Daszyńska-Golińska, zaznaczając bezwzględność i zachłanność Rusinów, którzy szukają sobie możnych protektorów, jest zdania, że prasa warszawska, stojąca zdala od tej walki, winna wyrazić objektywną o niej opinję i opracować program przyszłego współżycia obu narodowości.

P. Tadeusz Balicki podniósł łączność kwestji socjalnej i narodowościowej i sądzi, że we wspólnym kotle wytopi się przyszły narodowościowy amalgamat.

Kalendarz Ziemi Łowickiej.

Wydany przez oddział Tow. Kultury Polskiej „Kalendarz Ziemi Łowickiej” na rok 1910 (Cena 50 kop.) może służyć za wzór, jak należy wydawać kalendarze prowincjonalne. Oprócz zwyczajnych rubryk kalendarzowych i bogatego działu informacyjnego, w którym znajdujemy, między innymi szczegółowy wykaz firm i fabryk miejscowych oraz spis miejscowej inteligiencji zawodowej, wydawnictwo zawiera ciekawą próbę zobrazowania stanu oświaty, przemysłu, handlu, gospodarki miejskiej i powiatowej, działalności instytucji i stowarzyszeń w powiecie łowickim.

Z obfitego materjału do stanu kultury ziemi łowickiej, zebranego i opracowanego przez grono miejscowych lekarzy, kupców, rzemieślników i — co najbardziej cieszyć nas winno — włościan miejscowych, przytaczamy niektóre dane.

Powiat łowicki ma 112,628 mieszkańców wraz z m. Łowiczem (14,708 m.), i osadami: Bolimowem (2,428 m.), Bielawami (1,550 m.) i Sobotą (1,403 m.). Katolicy stanowią 89 proc., żydzi 7 proc., ewangielicy $2^1/_2$ proc., marjawici 1 proc. i prawosławni $^1/_2$ proc. Wszyscy prawosławni mieszkają wyłącznie w Łowiczu, a wszyscy żydzi w Łowiczu i trzech osadach. W 10 aresztach miejscowych w 1908 r. siedziało 2,344 osoby.

Na 1,600 dzieci o wieku szkolnym t. j. od 6 do 13 lat — w m. Łowiczu w r. b. uczęszcza do 5 szkół miejskich 336 dzieci, do 6 szkół początkowych prywatnych około 480 dzieci, do 2 szkółek elementarnych prywatnych żydowskich 90 dziewczynek i do 9 chederów 270 chłopców, reszta zaś czyli 400 z górą dzieci w wieku szkolnym pozostaje bez żadnej nauki.

---

obiecując sobie napewno dać mi odczuć swą władzę przy pierwszej z mej strony próbie niezależności..,

Główna korzyść mego zajęcia polegała na możliwości zabierania do domu całego mnóstwa książek i pism, przysyłanych zewsząd do redakcji. Rada byłam również ze sposobności obserwowania niektórych charakterystycznych typów kobiecych w tym dziwnym otoczeniu: pewna medyczka dostarczała wskazówek z hygjeny, pośród których wydawca umieszczał adresy perfumerji, gorseciarek, masażystek; pewna norweżka, wysoka, jasna blondynka, o zadartym nosku i jasno błękitnych spokojnych oczach ilustrowała nowele i bajki dla dzieci; pewna młoda kobieta, której stanowisko i warunki rodzinne nie pozwalały w inny sposób „uwartościować” tytułu szlacheckiego i „dystynkcji” podjęła się prowadzenia kroniki towarzyskiej. W salonie redaktorki, w którym mąż mój pozwalał mi bywać, pod warunkiem jednak, że nie zawiążę żadnych blizkich stosunków, spotykałam najróżnorodniejsze osobistości. Z kąta, niezauważana, mogłam nabywać pojęcia rzeczywistości, której książki nie były w stanie dać mi dokładnie.

W kilka dni po rozpoczęciu mego zajęcia poszłam zobaczyć drukarnię naszego przeglądu; oprowadzał mnie wydawca ze swym lekko kpiącym uśmiechem, zawsze błąkającym się na jego ustach.

Jeden z zecerów trzymał na swym pulpicie mą kartkę: trzeba było dodać słów kilka dla łatwiejszego ułożenia stronic pisma — i tam pośród hałasu olbrzymich maszyn widziałam me słowa, jeszcze wilgotne, zamieniane na druk. Serce zabiło mi gwałtownie w piersiach, a oczy przesłoniła mgła...

Wracał więc czas niezapomnianych zajęć, — gdy pośród robotników ojca pracowałam wesoła! Czyż snem była długa przerwa, dnie zamknięcia, tam, w ponurym pokoju, sama ze swym dzieckiem, z duszą, przepełnioną tragicznymi widzeniami?

Jesień rzymska rozpościerała cały swój przepych. Nie przerwałam swych wycieczek po mieście, wchłaniając tajemniczy czar obrazów, rozwijających się przed mym wzrokiem jak symbole. Nieraz przesuwały się obok mnie, gwałtownie jak widma, poważne postacie: uczeni może, może cudzoziemcy, którym słońce Włoch oświetlało prawdy wewnętrzne, może marzyciele, których ojczyzną jest przyszłość? Byłam jeszcze „romantyczną” i nie martwiło mnie to: była taka moc sił życiowych w przeszłości, których widziałam ślady, że wyobrażałam sobie śmiało w przyszłości każdą najszczęśliwszą możliwość ludzką.

Widzę się w swym gabinecie pewnego popołudnia listopadowego, którego słońce zmuszało mnie do przesłonienia oczu ręką. Naprzeciw mnie siedzi blady, szczupły mężczyzna z dużymi błyszczącymi czar-

Charakterystycznym jest fakt, że w szkołach miejskich wśród 162 chłopców niema ani jednego chłopca żydowskiego, gdy wśród 174 dziewczynek jest 48 żydówek. Po za Łowiczem, w powiecie Łowickim istnieje 48 szkółek z 4,171 uczących się, z 34 nauczycielami i 14 nauczycielkami. Z powyższych 48 szkół elementarnych trzy, z 220 dziećmi są niemieckie. We wszystkich szkołach elementarnych ziemi łowickiej, oprócz dwóch szkół w Bolimowie — męskiej i żeńskiej — chłopcy i dziewczęta uczą się wspólnie. Chłopców uczy się 2,751 na 1,420 dziewcząt, czyli niemal dwa razy więcej niż dziewcząt. Do wszystkich tych szkół dzieci uczęszczają bardzo nieregularnie: zajęcia normalne trwają od 90 do 100 dni rocznie. Całkowity kurs kończy przeciętnie zaledwie 2 dzieci rocznie w każdej szkole. Lecz i takie niedostateczne wykształcenie, utrudnione przez wykłady przeważnie w obcym języku, otrzymuje tylko 4,171 dzieci, czyli zaledwie 38 proc. ogólnej liczby dzieci w wieku szkolnym, wynoszącej 10,841 dzieci. Wynagrodzenie nauczycieli wiejskich jest niedostateczne, wynosi ono przeciętnie 250 rb. pensji, a wraz z dodatkami w gotówce, zbożu, drzewie, ziemi rzadko przenosi 400 rb. rocznie.

Cała ziemia łowicka otrzymuje pism zaledwie 1,085 egzemplarzy a mianowicie codziennych polskich 401 egz., tygodników i miesięczników polskich 467 egz., rosyjskich pism 175 egz., niemieckich 32 egz., francuskich 6 egz., esperanckich 4 egz.

Wśród polskiej pracy codziennej góruje organ najtańszej — *Kurjer Polski* — 106 egzemplarzy. Dalej idzie *Goniec* 95, *Kur. Warszawski* 66, *Wiadomości Codzienne* 33, *Now. Gazeta* 26, *Dziennik Powszechny* 17, *Kurjer Poranny* 16, *Głos Warszawski* 15, *Dzień* 8, *Słowo* 6 egzemplarzy.

Z tygodników przychodzi 130 egzemplarzy *Gazety Świątecznej;* dalej idzie *Tyg. Illustrowany* 39 egz. *Zaranie* 28 egz. *Zorza* 20 egz.

Z rosyjskich pism najwięcej ma prenumeratorów polakożerczy *Swiet* — 34, dalej idzie *Warsz. Dniewnik* — 26 i *Niwa* 21 egz...

Opis stanu kultury ziemi łowickiej, opracowany przez zgrupowaną w Oddziale T. K. P. w Łowiczu szczupłą garstkę ludzi, obarczonych ciężką pracą zawodową, powinien być zachętą i wzorem do naśladowania dla naszych działaczy prowincjonalnych, ażeby, w myśl pięknej odezwy Zarządu Głównego T. K. P. „badanie kultury polskiej rozpostarło się po całym jej obszarze i ogarnęło nawet najdrobniejsze jej zakresy i ogniska".

Ag.

Szkodliwa organizacja.

Biurokracja rosyjska, która kraj nasz uważała zawsze za pole do wypróbowania różnych spekulacji polityczno-ekonomiczno-kulturalnych, przed dziesięciu laty wpadła na oryginalny pomysł rusyfikacji za pośrednictwem pomocy lekarskiej. Na początek, za punkt wyjścia działalności obrano gub. Płocką; stąd promienie jej stopniowo rozejść się miały na całe Królestwo Polskie i sięgnąć dobroczynnym swym wpływem aż do najgłuchszych jego zakątków. Jak się wywiązała z tego zadania — czytamy w *Gazecie Lekarskiej.* „Założona w 1899 r. organizacja ta w ciągu 10-ciu lat swego istnienia zdążyła zdyskredytować się doszczętnie nietylko w opinji naszego społeczeństwa, lecz nawet w oczach wielu przedstawicieli biurokracji". Uboga ludność, która moralnie i materjalnie miała korzystać z dobrodziejstw instytucji, w ambulatorjach jej, źle rozmieszczonych, źle urządzonych i źle obsługiwanych, spotyka się z niedbalstwem, i niesumiennością pośpiesznego badania lekarskiego, z częstymi pomyłkami przy wydawaniu lekarstw, wskutek niedostatecznej znajomości naszego języka przez wydających, a już niezmiennie zawsze narażona jest na wielką stratę czasu, zmuszona przychodzić z daleka i długo nieraz wyczekiwać na przyjazd doktora. W dodatku, ponieważ objazd ambulatorjów należy do obowiązków lekarzy i felczerów szpitalnych, którzy wskutek tego dwa dni w każdym tygodniu bywają nieobecni, szpitale miejscowe upadają, jak twierdzi *Gaz. Lek.* Byt wielu lekarzy został też zachwiany działalnością płockiej organizacji lekarskiej; liczba ich zmniejszyła się, wskutek tego i dziś mniej ich jest w gub. Płockiej, niż w uboższej od niej Łomżyńskiej. A tymczasem z lecznic organizacji lekarskiej zaledwie kilka funkcjonuje „jako tako"; inne należałoby zamknąć natychmiast. Ten eksperyment kosztował już ludność guberni pół miljona podatku specjalnego; ale

---

nymi oczami; głowa jego jest piękna, spokojna i niepokojąca jednocześnie; dolna część twarzy wyraża silną wolę, a wysokie czoło wszechwładny pokój. Co chwila przerywa rozmowę, by nachylić się ku dziecku, bawiącemu się u naszych nóg, i pogłaskać delikatną, białą ręką jego loki. Za sobą czuję mego męża, przerzucającego kartki jakiejś książki. Człowieka tego przedstawiła mi kilka dni temu moja dobra, stara przyjaciółka. Był autorem kilku broszur, o których mówiono dużo, pseudonim jego był mi znanym od dość dawna; wiedziałam że ukrywa się pod nim wysoki urzędnik pewnej instytucji, który podał się do dymisji, by swobodnie bronić prawdy i w nędzy oddawał się pewnej pracy filozoficznej. Jego odruchowy uśmiech sympatji zdobył mnie i wzbudził pragnienie zaproszenia go do nas — mimo nieufności mego męża.

Mówi mi tyle rzeczy głosem ciepłym, któremu akcent południowy nadaje dziwną miękkość i słodycz. Mówi bez przesady, jakby słuchając tego, co wewnętrzny głos mu dyktuje: o kobiecie, o prawach, o zwyczajach; wygłasza zapatrywania, podobne do moich, z niezwykła prostotą, której mi brak; lecz, gdy mówi o kwestji naukowej, o modnym dziś systemie zmiany społecznej, słowa jego stają się dziwnie ironiczne, pogardliwie; skłania mnie do uważania się za szczęśliwą z powodu braku głębszych studjów, sucho burzy podstawy próżnych i dumnych poszukiwań ludzkości, — nagle zrywa się i wydaje się, jakgdyby jakaś wizja wspaniała rozciągała się przed jego duszą, dla niego tylko. I natychmiast przestaje mówić o błędach, o szaleństwach, o poświęceniach; znowu pieści dziecko, wspomina swe dzikie dzieciństwo, gwałtownym ruchem wyciąga ku mnie rękę, jakby zawierając przymierze i odchodzi wraz ze swą tajemnicą!

Mąż mój milczy, po chwili i on wychodzi; mały, widząc me zamyślenie, przegląda dalej obrazki wielkiej książki. Myślę o ojcu, o dreszczu, jaki ongi wywoływały we mnie niektóre jego słowa, gdy z niego czerpałam swe życie duchowe.

Do dnia tego nikt inny nie zjawił się przede mną, jako indywidualność wolna, jako tłumacz prawdy, jako mistrz. Zdawało mi się, że era *widzących* zamknięta została: więc tak nie jest?

Przez chwilę doznaję zawrotu głowy.

Potym spokój wraca. Czyż nie jestem przygotowaną na przyjęcie jakiegokolwiek bądź objawienia? I nim powrócę do swej zmudnej pracy, patrzę z tarasu na oślepiającą tarczę słońca nad cyprysami Monte-Mario, i na dwa pęki rozpalonych promieni, które uchodząc rozpłomieniają horyzont. I czuję, że ten zachód na zawsze pozostanie w mej pamięci.

(D. C. N.)

na tem nie koniec, gdyż Rada Państwa zatwierdziła uchwalony przez Dumę projekt przedłużenie na lat trzy jeszcze organizacji rządowej pomocy lekarskiej w guberni Płockiej. Na co się to i komu przydać może? Jeżeli cel zasadniczy powstania instytucji nie został osiągnięty w ciągu lat dziesięciu jej istnienia — to czyż w czasie lat trzech można liczyć na zbudzenie się większej żywotności w jej działaniu". Ucierpi na tym tylko zdrowotność guberni i kieszeń jej mieszkańców, zmuszonych drogo opłacać gorliwość marnotrawnej służby ideałów biurokratycznych.

List biskupa Marjawickiego.

Wyświęcony niedawno przez starokatolików Holandji biskup Marjawitów ogłosił list pasterski, w którym ciekawe są główne nauki i wskazówki, jakie daje wiernym swego wyznania, a nadewszystko kapłanom. W stosunku do ludzi innych wyznań i obcych narodowości każe im daleko odrzucić od siebie „ten faryzejski kwas nienawiści wyznaniowej i plemiennej", jakim poili ich dawni przewodnicy. Zaleca kochać „kraj, naród, mowę ojczystą, zwyczaje narodowe i historję i pracować nad ich rozwojem i kulturą", lecz zastrzega się przeciw okazywaniu nienawiści innym narodom, ich kulturze, językowi i t. d.

„Zakładajmy — pisze — szkoły, ochronki dla dzieci, uczelnie i czytelnie dla starszych, aby pomiędzy marjawitami nie było nikogo, ktoby nie umiał czytać i nie mógł korzystać ze zdobyczy kulturalnych". I rzecz znamienna — „słudzy ołtarza, — powiada dalej — nie mają prawa przywłaszczać sobie wyłączności w krzewieniu oświaty i kultury, rozciągać swej kontroli nad nauką i jej zdobyczami". Biskup nie boi się krytyki dogmatów, nie boi się dyskusji nawet z niedowiarkami. „Tylko obłuda i zabobon — mówi on — lękają się światła nauki i krytyki i odgradzają się od nich ścianą indeksów, zakazów, ograniczeń i kontroli". Prawemu marjawicie, którego wiara opiera się na miłości i poznaniu Chrystusa, te wszystkie ostrożności są niepotrzebne, według niego. Całkiem nieprzewidująco i niepolitycznie nakreśla przytym granice swojej władzy: „Wszystkie prawa, postanowienia i tak zwane przykazania kościelne, wprowadzone przez ludzi w celu ujarzmienia i podbicia w niewolę synów bożych, aby łatwiej ich wyzyskać i sobie poddać, nas nie obowiązują". Kapłani — poucza ich biskup — winni być sługami ludu, nie jego panami. Lud zaś winien ich słuchać wtedy tylko, gdy mu głoszą ewangielję; a nawet i wtedy w posłuszeństwie jego nie powinno być niewolnictwa. Z tej racji w kościele marjawickim nie może być ekskomunik, klątw, interdyktów. Kapłanom niewolno domagać się od ludu zapłaty za posługi duchowne, gdyż Chrystus powiedział: „Darmoście wzięli, darmo dawajcie". A jeśli oni będą się troszczyć o jego potrzeby duchowne, to on z pewnością będzie pamiętał o zaspokojeniu ich potrzeb materjalnych. W liście tym znajdujemy pośrednią odpowiedź na wiele zarzutów, czynionych marjawitom. Napisany spokojnie i powściągliwie, świadczy o rozumie i zamiarach kierownika nowego kościoła Skromne słowa, wyszlachetniona prześladowaniem, chłostą nienawiści i niewystygłym jeszcze zapałem dusza — oto, możnaby sądzić, dzisiejszy ksiądz marjawicki. Co z niego jednak zrobi powodzenie, można opieka i życie w ciągłych kompromisach dla utrzymania się na zajętym stanowisku i rozszerzenia swego znaczenia — przyszłość pokaże.

BADANIA NAUKOWE.

Kolektywizm a rzeczywistość.

I.

(*Maurycy Bourgouin*: **Systemy socjalistyczne a rozwój ekonomiczny**. Przekład W. Wróblewskiego i M. Aleksandrowicza. Lwów, 1909, s. V i 501.)

Autor w obszernym swym studjum podejmuje sporną i żywotną kwestję możliwości urzeczywistnienia postulatów kolektywizmu w przyszłym ustroju społecznym. Pyta on o pozytywne podstawy, które w rozwoju współczesnego ekonomicznego świata zapowiadają jego urzeczywistnienie, w imieniu wszystkich, których „bunt sumienia, przeciw nierównościom i nędzy naszej cywilizacji" pociąga ku socjalizmowi. Wprawdzie Marx i Engels, a za nimi Kautsky zastrzegali się wielekroć przeciw budowaniu państwa przyszłości, ale wyrażają w zasadniczych swych dziełach niezmienne przekonanie o konieczności uspołecznienia środków produkcji, o planowej organizacji wytwórczości i podziału, które z chaosu rewolucji socjalnej wyniknąć muszą, jako faza następcza po kapitalizmie.

Wobec trudności, jakie przedstawia przejście do powszechnego kolektywizmu, zarówno przy wartościowaniu pracy, jak i przy określaniu ceny produktów, pozostającej bez działania praw podaży i popytu, jak wreszcie przy zastąpieniu metalicznego pieniądza przez bony pracy, przeciw zasadom kolektywizmu podnoszą się liczne zarzuty. Trwałe utrzymywanie się własności drobnej, zwłaszcza w rolnictwie, zmusza stronnictwa socjalistyczne w Niemczech i we Francji oświadczyć, że wydziedziczenia obawiać się nie powinien włościanin, pracujący na własnym zagonie. [1]) Socjaldemokracja posuwa się nawet do polityki popierania własności włościańskiej. Dodajmy do tego groźbę ciężkiej, kosztownej, odpowiedzialnej machiny państwowej, której przyszły ustrój musiałby narzucić zadania niezliczalne, której następstwem musiałoby być skrajne ograniczenie wyboru zawodu, a nawet miejsca zamieszkania dla jednostki, a jasnymi się staną wątpliwości urzeczywistnienia kolektywizmu nawet w razie, gdyby rozwój stosunków parł w jego kierunku.

Jaurès w swym „Zarysie tymczasowej organizacji przemysłowej" usuwa następstwa zniweczenia interesu indywidualistycznego w produkcji, co zgubnie odbić by się musiało na jej postępach, przez system korporatywny, w którymby naród pozostając właścicielem kapitału zbiorowego, powierzał korporacjom narodowym środki produkcji za odszkodowaniem. Wytworzona w ten sposób decentralizacja nie wykluczałaby współzawodnictwa grup i zdejmowała z bark państwa wynagrodzenie pojedyńczych pracowników i zaopatrywanie społeczeństwa w wytwory niezbędne. Ale i tu ostateczne kierownictwo musiałoby być scentralizowane, nie rozstrzyga ono również podziału sprawiedliwego zysków, płynących z czynników przyrodzonych jak wydajność kopalni, lub wyższa urodzajność gruntów.

Autor nasz nie zgadza się z kolektywizmem czystym, z ogromną władzą państwa, które stałoby się piastunem wszystkich funkcji gospodarczych, szacować by musiało usługi i wytwory, dostarczać pracy

---

[1]) Programy zjazdów marsylskiego z 1892 i nantejskiego z 1894 r. Debaty niemieckiej demokracji socjalnej na zjeździe we Wrocławiu w 1895 r.

robotnikom pozbawionym pracy, dokonywać niesłychanie skomplitowanych obliczeń zapotrzebowania i zaofiarowania, a wreszcie odpowiadać za wszelkie omyłki i bodaj mimowolne niesprawiedliwości. Protestuje również w imieniu wolności przeciw najwyższej radzie pracy Jaurèsa i skłania się do zdania Schäfflego, który powiada: Gdyby socjalizm chciał odebrać jednostkom swobodę ich potrzeb, uważać by go należało za wroga śmiertelnego wszelkiej wolności, cywilizacji, dobrobytu materjalnego i intelektualnego.

Obok zasad czystego kolektywizmu poddaje Bourgouin krytyce systemy kolektywizmu „skażonego", a zatym dzieła Jerzego Renarda. (Ustrój socjalistyczny), Gronlunda (The cooperative commonwealth) Sulzera (Die Zukunft des Socialismus), ideały afrykańskie Hertzki i kolonie rolniczo-przemysłowe F. Oppenheimera.

Od ideałów kolektywizmu odbiegałyby bardziej jeszcze systemy Socjalizmu państwowego i gminnego, ponieważ wartość ustanawiałaby się tu nie w bonach pracy, lecz w pieniądzu metalowym pod wpływem podaży i popytu. Państwo, stawszy się właścicielem środków produkcji powierzałoby przedsiębiorstwa jednostkom, gminom, zrzeszeniom, zachowując sobie ogólne kierownictwo. System ten, o wiele prostszy unikałby przesileń, wynikających ze współzawodnictwa, ale musiałby zachować pracę najemną i stopniować płace, zależnie od uciążliwości, czy niestałości wykonywanej funkcji. Jest to program wygłoszony przez Milleranda w St. Mandé, który cel organizacji społecznej określa, jako „interwencję państwa w kierunku przejścia od władania kapitalistycznego do narodowego środkami produkcji, w miarę dojrzewania różnych ich rodzajów do uspołecznienia. Z socjalizmem państwowym zlewa się socjalizm gminny, w programach Cezara de Paepe, Benedykta Malon, Pawła Brousse. Poglądy podobne wypowiada również A. Menger w „Nowej nauce o państwie". Państwo i gminy dostarczałyby środków produkcji i kapitału, stowarzyszenia robotnicze, prawdopodobnie zawodowe, pracowników. Gminy, jako jednostki ekonomiczne, wchodzą w stosunki wymienne, oparte na systemie pieniężnym, pod dozorem i kierownictwem państwa.

Autor zastanawia się również nad socjalizmem zrzeszeniowym, opartym dziś na idei kooperacji i związkach współdzielczych. Socjalim walczący niechętnie odnosi się na ogół do kooperatyzmu w obecnej jego koncepcji, w której punktem wyjścia jest najszerzej rozgałęzione stowarzyszenie spożywcze i uzależnione od niego przedsiębiorstwa wytwórcze. Pomimo to nietylko w Belgji, ale nawet w Niemczech i w Austrji, stronnictwa socjalistyczne popierają dziś kooperatywy, a rewizjoniści niemieccy widzą w nich komórki przyszłego kolektywizmu. Autor zdaje się nie wiedzieć o tym zwrocie ostatnich lat dziesiątków, a i sam nie docenia socjalizmu zrzeszeniowego, stojąc na stanowisku, zajętym przed dwudziestu laty przez Beatrycę Potter. Wprawdzie B. przyznaje, że liczba kooperatystów rozrosła się do 12 miljonów (inni autorowie obliczają na 21), ale kapitały kooperatyw wynoszą zaledwie 800 mil. franków. Do tego zaś, ażeby zyski rozlały się na całe społeczeństwo potrzeba zawładnąć wszystkimi środkami dzisiejszych kapitalistów. Oczywiście, o ile ewolucja kapitalistycznego świata nie zwiastuje bankructwa, dokonać by mógł tego jedynie gwałtowny przewrót. Kooperatyzm zaś jest ruchem pokojowym.

Zreasumowawszy zasadnicze poglądy wodzów socjalizmu, konstatuje autor, że okres bohaterski kolektywizmu już minął, marksyzm wstąpił w nową fazę: „Faza katastroficzna została prawie odrzucona, myśl o gwałtownej i nagłej rewolucji jak gdyby zaniechana, a kolektywizm czysty jest ignorowany, nawet socjalizm państwowy występuje jako system, rozwijający się stopniowo, ulega stopieniu z socjalizmem gminnym, współdzielczością, a nawet indywidualizmem". (str. 116). I z tą nawet postacią kolektywizmu autor niezupełnie się zgadza, zajmując stanowisko jak najdalej idącej demokratyzacji ustroju społecznego.

Wprawdzie doktryny indywidualistyczne, zarówno w pierwotnej swej postaci polityki nieograniczonej swobody stosunków gospodarczych, ale i w uzasadnieniu Spencera i de Molinari'ego wydają się B. popieraniem interesu klas posiadających. Złożoność interesów społecznych nie dopuszcza polityki indywidualistycznej. Nawet budowa społeczna, polegająca na grze interesów nie już jednostek, ale stowarzyszeń wymaga regulatora w osobie państwa lub gmin, których rola gospodarcza stale wzrasta. Nie mniej bezwzględnie odrzucone jednak zostały tezy kolektywizmu absolutnego i rozwojowego.

Autor w szeregu obfitych i starannie dobranych faktów stwierdza rozszerzanie się i konsolidowanie kapitalizmu i organizację sił społecznych. Naprzeciw towarzystw akcyjnych, kartelów i trustów stoją stowarzyszenia współdzielcze, na wsi i w mieście, związki zawodowe, państwo i gminy, ktorych funkcje gospodarcze rozszerzają się z dniem każdym. Przyszłość zdaje się należeć do zrzeszeń kapitału i pracy i to nietylko w obrębie danego kraju i narodu, ale po przez granice państw, oceany i części świata. Są to prawa rozwojowe, którym opierać się nie miałoby celu. Ideał współczesnego człowieka dla umysłów wyszkolonych w metodach nauk przyrodniczych, musi iść w kierunku historycznego rozwoju, którym jest coraz dalej idąca demokratyzacja i urzeczywistnianie się stopniowe idei sprawiedliwości, ziszczonej w podnoszeniu moralnym i materjalnym coraz liczniejszych mas. Dokonać się to jednak musi zdaniem autora na drodze ich własnych zabiegów, pomocy i opieki społeczeństwa. Prawo do istnienia, urzeczywistnione przez państwo sprowadziłoby gminy komunistyczne, które przybrać by musiały postać osad karnych. Autor odrzuca je w jego bezpośrednim wykonaniu. Nie przywiązuje również wagi do urządzeń patronalnych i dobroczynności zarobkodawców, przyznając wyższość bezwzględną organizacji robotniczej i żądając jak najdalej idących swobód dla robotnika w fabryce, czy warsztacie i po za nimi.

Warto się zapoznać bliżej z rozdziałem, poświęconym najemnictwu, owej spornej formie umowy o pracę, która wykazuje przecież taką żywotność, iż odnajduje się nietylko w przedsiębiorstwach gminnych i państwowych, ale nawet w kooperatywnych. Najem rozszerza się na warstwy coraz liczniejsze. wykazuje wszelkie skale płac i stanowisk, a dodajmy nie może być bynajmniej utożsamiony z proletaryzacją. Najem nie pociąga za sobą ani uzależnienia osobistego, ani społecznego upośledzenia. Płace zarobkowe rosną, a organizacje robotnicze z powodzeniem normują je przez taryfy, żądanie minimum płacy, stosowanie do stopy życiowej. Instytucje ubezpieczeń społecznych czynią postępy we wszystkich krajach. Możemy więc wraz z autorem przewidywać, że system najemnictwa „przeobrazi się w stan, w którym urzędnik i robotnik znajdą większy dobrobyt, niezależność i zabezpieczenie". Na postępie klasy robotniczej, na zabezpieczeniu jej przed przeciążeniem pracą, nędzą i alkoholizmem zależeć musi nawet przedsiębiorcom. Widzimy to już wśród przedstawicieli wielkiego przemysłu na zachodzie. Dzieje się często inaczej, ale są to nadużycia, którym zapobiegać nie jest niemożebnym. Autor przepowiada też utrzymanie się najmictwa przez czas jeszcze długi. Obok tego nie widzi czynników, któreby postęp, kulturę i bogactwo klasy robotniczej powstrzymać mogły wśród ludów cywilizowanych i przepowiada jedynie wzrost demokracji w dziedzinie życia gospodarczego, równoległy z demokratyzacją polityczną.

Rozumowania te B. opiera na przeglądzie faktów rozwoju gospodarczego w każdej dziedzinie, który rozpatrzymy w oddzielnym artykule.

zdg.

LITERATURA i SZTUKA.

Piękno a krytyka.

(Dokończenie).

Każdy, co badał dzieje ludzkie, wie, że sztuka bodaj w zarodku spotyka się wszędzie i wie, że wybucha największym blaskiem w warunkach szczególnych. Zatym jest drogą do piękna droga, która czasem wiedzie „od szczytu do szczytu", a czasem pnie się w górę, a czasem doliną bieży. Ci co o pięknie wiedzieć mają, co się na pięknie rozumieją, muszą umieć wszystkimi drogami chodzić. Jeżeli skoczyć potrafią, niech skaczą, jeżeli chodzić muszą, niech chodzą.

Widzieliśmy artystów pracowitych i leniuchów, a żadnemu za to wyrzutów czynić się nie godzi. Ani trochę nie szkodzi praca gienjuszom, ani pomaga lenistwo. Śmiał się Flaubert z Goncourtów, ale wyśmiewani i wyśmiewający jednakie zasługi mieli. Właśnie Goncourtowie nauczyć mogą ludzi, ile siły znaleźć może po drodze ten, który patrzeć chce i umie. Dzieło Goncourtów jest jakby szkołą estetyki i nauką o szczęściu artystycznym, jest wskazówką, jak można żyć szczęśliwie i stać się znawcą piękna, obywatelem w królestwie sztuki. Erudycja nie pozbawiała ich zrozumienia talentu bez pracy.

Wraz z Baudelairem kochali tego wielkiego leniucha, Teofila Gautier i pracowali „jak murzyni, jak galernicy, jak benedyktyni" (Gautier). Mnóstwo poetów zamęczało się nad swymi utworami, a utwory ich stawały się nieśmiertelnymi arcydziełami. Męka nie zawsze prowadzi do smutku, czasami wiedzie do szczęścia. Poznać, to prawie tyle co polubić, polubić prawie tyle, co zrozumieć. Poznać to prawie tyle, co znienawidzieć — znienawidzieć prawie tyle, co unicestwić. Tak można poznając stawać się szczęśliwym, zabijając szpetne, a chłonąc piękne.

I cóż stąd, że zawsze dla szarych tłumów szare powstawać będą sztuki—może być, że to są te zapachy z kuchni, które smakoszom dają pojęcie o potrawach. Może to są te odłamki i gruzy, którymi podmurowywa się gmach piękna. Ale wolno nam je nazywać właściwym mianem, wolno je ignorować, lub spychać na dół. Erudycja i doświadczenie ma być podstawą wszelkiego sądu ale nie usprawiedliwieniem wszelkiej lichoty.

Erudycja wytykała błędy w „Salambo", choć znawca sztuki Brandes miał ją za arcydzieło „historyczne". W sądzie Brandesa tylko uwielbienie dla „historyczności" było błędnym, w ocenie piękna się nie mylił. Każdy epiptolog dowiedzie Flaubertowi, że Tanit co innego oznacza, dowiedzie, że Flaubert kpił sobie z publiczności, albo liczył na nieuctwo, ale przez to „Salombo" nie przestanie być arcydziełem, bo harmonja i stosunek jej obrazów stanowi o sile, a nie ścisłość historyczna. Erudycja zaszkodzi natomiast „Doktorowi Pascalowi" Zoli, bo naiwny autor Makartów właśnie na fałszywych wiadomościach oparł całą estetyczną budowę, z praw mylnie pojętych i źle zrozumianych zbudował jakąś koszlawą syntezę, zachwycającą niedouczonych bakałarzy. Erudycja i doświadczenie nie powinno mieć granic. Nie można dowiedzieć się zawiele o autorze, nie można, poznawszy najdrobniejsze szczegóły, nabrać o nim fałszywego pojęcia. Banalne i utarte zapewnienia, że się poeta od człowieka różni, zostawmy ich twórcom kurjerkowym. Kto z życia ludzi wielkich nie potrafi wyłuszczyć ich wielkości, kto zgubiwszy się w lesie, nie zrozumie jego piękności, ten niech nie bierze się do oceny. Jak dla artysty nauka, tak dla krytyka wiedza i doświadczenie niebezpieczne bywają tylko wtedy, kiedy artysta nie ma talentu, a krytyk sądu własnego.

Doświadczenie prowadzi czasem do tego, co się nazywa smakiem i gustem. Nie wątpimy, że tysiące doświadczeń i wielka erudycja nie stworzą talentu, ani zmienią pewnego kastowego zapatrywania, ale zazwyczaj ludzie tak ograniczeni z wychowania, czy zdolności, nie oddają się zbytecznym badaniom. Znacznie więcej widzimy takich, którzy dzięki wykształceniu lepiej rozumieją nawet wrogie sobie zapatrywania i lepiej o nich mówią, niż ciemni zwolennicy, którzy pokrzykują zamiast sądzić. Doświadczenie bowiem prowadzi do coraz wyraźniejszego pojęcia *miary*, tego rozstrzygającego w rzeczach sztuki warunku piękna.

Że istnieje taka miara, mimo wielkiej zmienności warunków, o tym nie wątpi nikt, kto porównywał i obserwował. Miara ta jest bardzo rozciągła, różna dla każdego niemal, a mimo to wahająca się tylko w określonych granicach. Miara taka inna będzie zapewne dla nas, niż dla ludzi innej epoki, tak jak zawartość naszych mózgów inna jest, niż ludzi dawniejszych. Od tej zawartości, od ilości wiadomości zależny jest nasz sąd, ale napewno zarówno w cywilizowanej i purytańskiej Anglji, jak w gorących entuzjastycznych i bezwyznaniowych Włoszech najlepsi krytycy są zgodnego zdania. Tych nielicznych wyszukać należy w tłumie, albo pomóc im do wywierania wpływu.

Możnaby się zapytać, czy tylko z nieuctwa powstaje sąd fałszywy. Tam, gdzie ludzie potępiają, zapewne, tam gdzie chwalą — nie zawsze.

Nowa sztuka — a innej niema właściwie, wymaga otrzaskania się z tą, która ją poprzedziła. Jak dla autora otoczenie i poprzednicy są warunkami, z których o jego twórczości wnioskować można, tak dla krytyka znajomość pokrewnych utworów jest wskazówką przy zrozumienię nowych. Mnóstwo ludzi potępiało dlatego Przybyszewskiego, że nie znało ani Huysmansa, ani Mirbeau, ani Hamsuna, ani Strindberga, ani całej plejady ludzi, którzy z nim razem cierpieli i myśleli. Mnóstwo innych dlatego zachwyca się niejednym bajarzem, że zapomniało o Dumasie ojcu, a nawet o Wiktorze Hugo, którzy to znacznie lepiej i barwniej robili. Ale jest kategorja liczna krytyków, którzy dlatego chwalą, że w utworze widzą siebie, że w lichej często budowie dobudowują sobie sami rzeczy brakujące.

Pan Jules Gaultier nazwałby to Bovaryzmem, na pamiątkę pani Bovary, która według niego żyła w złudzeniu co do samej siebie. Takim złudzeniem żyje dużo krytyków. Iluż to myślących ludzi przypisywało Płoszowskiemu zdania, których nie wygłosił wcale, albo Ewie Pobratyńskiej uczucia, których nie miała. Subjektywizm tak daleko iść nie może, żeby krytyk poprawiał i uzupełniał autora. Jest to uciechą dla krytyka, nieporozumieniem dla czytających. Do kategorji takich sądów zaliczam tę pseudo-erudycję, która cytatami medycznymi komentowała dziwolągi nieudouczonych artystów, albo doszukiwała się głębokich symbolów, gdzie było dziecinne popisywanie się znajomością czterech słów sanskryckich.

Chwalebny jest wielce entuzjazm w krytyce. Smutni są ci wiecznie skrzywieni, niezdolni zrozumieć zapału, niezdolni przebaczyć egzaltacji, niedostrzegający brylantów i pereł choćby niewłaściwie umieszczonych. Są rzeczy, którym przebaczyć niemożna, są i takie, którym przebaczyć trzeba, które uwielbiać się każą, które rozjaśniają niezdarnie wyrażone myśli.

Któż przebaczy pozę i nieszczerość?—tylko nieuk,

który się na niej nie pozna. Poza jest zawsze plagjatem, plagjatem samego siebie. Plagjat może być nawet piękny, ale dla artysty jest negacją jego ducha. Kto przebaczy schlebianie lichym gustom, kto wogóle przebaczy artyście służalstwo, które zabija ducha? — tylko nieuk, który się na tym nie pozna,albo sam służalec innych.

W sądzie o sztuce nie można się obejść bez sądu o etyce artystycznej. Któżby porównywał Żuławskiego z Micińskim, choć obaj mają błędy. W zawikłanych i narwanych postaciach Micińskiego znać przecie zawsze dążenie do trudnego i niezwykłego; a „Iola" albo „La Bestia" wcale do literatury nie należą. Inaczej się sądzi „Skotopaski" lub „Pana Wronę" Glassa, a inaczej feljeton „Bociana", choćby się nazywał „Rzeczami wesołymi" i napisany był przez zdolnego pisarza. Wysiłek artysty, dążenie jego, myśl, która nieznanymi drogami idąc, kuleje i upada — wzbudzi zawsze szacunek nawet dla śmieszności swojej. Rutyna, szablonowe dogadzanie, wyszukiwanie tego, co się podoba, tanie efekty, liche udawanie wzruszenia, sztuczne napaście zawsze zasłużą na potępienie, chociażby autor szczycił się licznymi wydaniami i sławą między światem dziennikarskim. „Pałuba" Irzykowskiego z jego niezdarnościami i bluźnierstwem jest warta tyleż, jako czyn artystyczny, co „Próchno" Berenta, pisane z porywającym talentem i wykwintną kulturą artystyczną. Z innej strony niesmaczne wyuzdanie Tetmajera jest dla szczegółów pięknych wiele więcej warte, niż poczciwe ględzenie naszych początkujących, którzy i które rady sobie dać nie mogą z alfabetem polskim. „Aszantka" jest banalna ale z talentem napisana, a Henryk Flis chce być nie banalny — ale nie umie się ruszać. Te kilka przykładów ma wykazać, jak dużo rzeczy w utworze gra rolę, jak się wzajemnie wspierać i znosić mogą. Więc przedewszystkim pobudka i etyka autora, potym jego talent, któremu nigdy nie uda się zagłuszyć ordynarności ducha.

Jak dalece czuli są na to artyści, łatwo się z ich krytyki przekonać. Uczciwy artysta, choćby sam tworzył rzeczy niezdarne, zachowa zawsze cześć dla prawdliwego wysiłku, dla tej etycznej strony dzieła. Krytyka artysty szczerego jest zawsze najlepsza i najtrafniejsza — a dla słuchaczy podwójnie doniosła, bo jednocześnie o dwuch ludziach świadczy: o chwalonym i chwalącym. Cóż piękniejszego nad sąd Tetmajera o Boecklinie, Baudelaira o Wagnerze i Poem? Z czegoż poczęła się wielkość Leona Bloy lub Anatola France'a?

Ten, który w swoich utworach nie potrafi utrzymać ładu i bezkrytycznie plecie trzy po trzy — potrafi bez długich wahań, odrazu instynktem odrzucić wszelką sztuczną literaturę i oddać cześć talentowi szczeremu. To co krytyk zdobywać musi mozolnie — artysta ma gotowe: wrażliwość na piękno i gust wybredny.

Tym gustem zbrojni, w posiadaniu doświadczenia, znając miarę, która o wartości stanowi — wybierać się powinni w świat ludzie, którym przypadło w udziale być pośrednikami między artystą i tłumem — krytycy. Oni to z przyczyn zawiłych, z historji i wpływów wysnuć mają wnioski, które przez zjawisko utworu artystycznego potwierdzone i uzupełnione będą. Nawet fenomenalność talentu, o której z takim naciskiem mówił Whistler, nie wszystkie wnioski takich dociekać obali. Ale nie tylko „objaśnienie" talentu jest tym zadaniem. Milszym i trudniejszym jest poznanie talentu. Milszym jeszcze wykrycie tych nici, którymi piękność osnuła wszystkie zjawiska świata. Bo jak w utworach poety, nawet drobne rzeczy, nawet śmiesznostki mogą nosić piętno talentu, tak w życiu ludzkim, w wypadkach dnia jest urok dostrzegalny dla czułego oka.

Czy ta krytyka utworzy coś, przyda się na co? Oczywiście najlepsi krytycy nie zdołają wykrzesać ani jednego talentu, najczulszy krytyk będzie jeszcze obrazą i nieporozumieniem dla twórcy, bo nieprzebyta przepaść dzieli zawsze artystę od nieartysty, ale przecie coraz więcej z szarego tłumu wyrastać będzie ludzi wrażliwych, coraz liczniejsi będą tacy, którzy rozumieją piękno — i coraz mniej będzie nieporozumień. Oddzielą się ludzie lepsi od gorszych, nie będzie tego skrzeczenia, którym witają arcydzieło i miernotę, tylko sąd pewien stanie się wyznaniem dla jednych, a herezją dla drugich. Zniknie ta ohydna zgoda, pobłażliwość czy litość, z którą toleruje się fałsz lub brzydotę. Mało będzie tych, których kochamy, ale kochać ich będziemy na śmierć i życie. Odrzucimy precz od siebie to wszystko letnie, to niedokończone, to napuszone, albo niekulturalne i—zapomnimy o nim. Wykwitnie z tego święta walka, która nas oświeci i umocni, bo „walka jest ojcem wszechrzeczy". Wykwitnie ta mocna gorąca nienawiść i nieprzejednana złość, która ożywi nasze opuchnięte z ospałości i dobroci twarze. Niema przebaczenia dla niektórych — ale niezliczona jest liczba tych, którzy na miłość zasłużyli. Nie znamy ich, bo nie umiemy patrzeć, bo oślepliśmy od patrzenia na miernotę, bo stajemy na jakimś „punkcie widzenia", bo się robimy specjalistami, którzy czują tylko kawałkiem skóry i patrzą tylko częścią oka, a mimo to: „we wszystkich tonach dźwięczy cichutko nuta jedna temu, co nasłuchuje". We wszystkich przejawach ducha jest odblask tego wiecznego słońca i mimo zmian, mimo przewrotów i różnic, jedna jest tylko harmonja i piękno, mimo zmienności zawsze jednakie, mimo że się w tysiące wciela — zawsze to samo.

Wacław Moraczewski.

SPROSTOWANIE. W numerze porzednim, w pierwszym ciągu art. „Piękno a Krytyka" str. 12, szpalta 1, wiersz 41 od góry: zamiast „podkupuje" winno być „podkopuje".

Szósta Wystawa Doroczna.

I.

Malarstwo.

Szósty z kolei Salon warszawski, aczkolwiek niezbyt bogaty w dzieła artystycznej doniosłości, przedstawia się nader interesująco, jako *przegląd* naszych sił w zakresie sztuk plastycznych, przegląd, ujawniający nietylko dobitne krystalizowanie się pewnych talentów śród młodszej gieneracji artystów, lecz i dążenia do stworzenia zdecydowanych grup estetycznych, co znakomicie ułatwia orjentowanie się w dążnościach i rozwoju dzisiejszego malarstwa i rzeźby u nas.

Zacznijmy *honoris causa* od przeglądu starszych sił, nie mających w większości wypadków nic więcej do powiedzenia ponad to, cośmy już od nich usłyszeli. Ta część wystawy obecnej przedstawia się istotnie dość smętnie i melancholijne budzi refleksje, zbyt często bowiem wystawione nowe dzieła starszych mistrzów przypominają nam, że widzieliśmy dawniej lepsze ich prace. Oczywiście, że taki np. liljowy nastrojowy „Wieczór na Polesiu" Chełmońskiego jest dziełem majstra pierwszorzędnego, lecz... kim jest Chełmoński — dawno wiemy; oglądamy tu *nie najlepszego* Chełmońskiego, a do pełni wrażenia potrzebna jest zawsze domieszka *przyjemnej* niespodzianki. Tej nam nie daje ani Brandt swą „Bogarodzicą", ani Kossak „Drogą do Madrytu" szwoleżerów polskich, ani Żmurko portretem damy, utrzymanym we właściwym temu artyście omdlewająco-banalnym charakterze. Ze starszych malarzy radość nam sprawił jeno Wyczółkowski swymi pysznymi „Kaczeńcami", odci-

nającymi się żółtą plamą na tle szafirowego wazonu; świetne odczucie harmonji barwnej, niezrównana technika w malowaniu kwiatów — rzeczy, które nazwisko Wyczółkowskiego nieuchronnie przywodzi na pamięć, znalazły na obecnej wystawie jeszcze jedno świadectwo niepospolite.

Na końcu tej części przeglądu mówić chcę o najwybitniejszym zdarzeniu artystycznym obecnego salonu, o tryptyku Jacka Malczewskiego „Chrystus w Emaus". Enigmatyczność koncepcji twórczych znakomitego malarza nie jest w tym obrazie tak uciążliwą, jak to bywało nieraz w ostatnich latach: pośrodku Chrystus, łamiący chleb nad szklanką wina — symbol, w liturgji chrześcijańskiej jasno wytłumaczony; obok robotnik i student, wyraziciele tego samego symbolu.

Zastanawiając się nad literacką stroną tryptyku, (a gra ona w dziełach Malczewskiego rolę przecie wielką) podziwiać musimy śmiałość pomysłu zasadniczego: postać Chrystusa jest jednym z przelicznych autoportretów malarza: mamy tu jego głowę, okrytą peruką chrystusową, wyraźnie *peruką* — co ma oczywiście swe symboliczne znaczenie. Boczne postaci studenta i robotnika traktowane są ściśle realistycznie. Dzieło to ma wszystkie zalety kolorytu Malczewskiego, owej przedziwnej atmosfery, jaką koloryt ten, istniejący jakby sam dla siebie, stwarza, mamy w nim ową tajemnicę harmonji barw, niespotykanej u żadnego ze współczesnych malarzy europejskich, a stanowiącej istotę tego czaru, jakim dzieła mistrza krakowskiego tchną dla tych nawet, którzy jego pomysłów kompozycyjnych zrozumieć nie mogą.

Zaprawdę, trudno pojąć, dlaczego ten wielki malarz nie zaprezentuje swego dorobku w którym ze światowych Salonów zagranicznych, gdzie dzieła jego swą oryginalnością i kapitalnymi zaletami malarskimi zdobyłyby miejsce pierwszorzędne, spychając na przynależne im stanowisko rozpierających się wciąż jeszcze Carolus'ów Durand'ów, Blanche'ów, Bonnat'ów, Flameng'ów i innych kacyków w królestwie oficjalnego malarstwa francuskiego.

A może... możeby się na nim nie poznano w Salonie Pola Marsowego, a zwłaszcza w Champs Elysées? Możeby go uznano za... natrętnego cudzoziemca? Więc może Jacek Malczewski ma rację... w swej dumie?...

Cechę znamienną VI-ej dorocznej w porównaniu z pierwszymi (trzech ostatnich nieobecność w kraju widzieć mi nie pozwoliła) jest skąpo *ilościowo* reprezentowany pejzaż. Pamiętam tę zuchwałą wprost mnogość zwykłych notat malarskich, drobnych odręcznych szkiców do krajobrazów, jakie dawniej pstrzyły wystawy w Zachęcie. Dziś tego nie mamy: zwrot ku większej powściągliwości w eksponowaniu studjów pejzażowych, czy też większa surowość *jury?...* Jakakolwiek tej zmiany przyczyna — rezultat witamy z radością: *non multa, sed multum.* Niewiele mamy pejzażów na wystawie, lecz to co jest — to dzieła skończone, niekiedy kapitalne.

Śród pejzażystów polskich na jedno z miejsc naczelnych wysunął się Bronisław Kowalewski. Znam prace jego od lat sześciu, śledzę uważnie rozwój jego talentu i, choć znana mi była zawsze głęboka sumienność stosunku tego artysty do sztuki, jego surowość dla siebie i nieustępliwa zawziętość w poszukiwaniu wyrazu swej indywidualności — przyznaję, żem jego „Starą sosną nad jeziorem" został olśniony. Jest tyle poezji w tym bezpretensjonalnym pejzażu, takie odczucie natury polskiej, tyle majsterstwa w oddaniu prostymi środkami wrażenia chwili między brzaskiem a pierwszymi promieniami słońca, że ten jedyny na obecnej wystawie obraz Kowalewskiego starczy za szereg dawniejszych studjów, zawsze cokolwiek monotonnych w ujęciu tematu i operowaniu zimnym przeważnie światłem. Jako dojrzały artysta prezentuje się dziś i Gustaw Pillati w swych soczystych, śmiałych, niesłychanie plastycznych sadach, ożywionych przez figury, doskonale harmonizujące z pejzażem, pełne życia i słońca. Radosny jest i Krasnowolski w swej wiejskiej „Kąpieli chłopców", malowanej gorąco i żywo; jego „Pogodny dzień", jako kompozycja najwybitniejsze zajmuje miejsce śród trzech jego obrazów: jest w nim *dążność do stylu* w ugrupowaniu tej rodziny wieśniaczej na tle zagrody i sadu; uderza to od razu i przywodzi na myśl i wczesny renesans włoski, i pogodnych malarzy niderlandzkich. Ta dążność do stylu — to najciekawsze bodaj i najbardziej krzepiące wrażenie, jakie z wystawy wynosimy: wybitnie zarysowuje się pod tym względem talent Tadeusza Noskowskiego w jego stylizowanych, witrażowo jakby traktowanych wnętrzach parku („W ostatnich promieniach", „W świetle księżyca"). Bardzo piękną rzecz dał tym razem jeden z najwybitniejszych przedstawicieli stylu w malarstwie naszym, Edward Okuń: faliste, na zboczu położono pole, usiane makami — dzieło wielkiego smaku i wykwintnego pojmowania dekoracyjnego pejzażu.

Gdy mowa o krajobrazach, mówić trzeba o świetną przykuwającym perspektywą widoku Narwi A. Kędzierskiego, o „Przodownicy" Wł. Tetmajera, o feerycznym pejzażu K. Stabrowskiego, z osobliwymi marabutami czy zgoła bajkowymi ptakami nad senną sadzawką w blaskach tajemniczych, nie należy przepominać dobre rokujących nadzieje obietnic Józefa Ryszkiewicza (juniora) Alex. Manna, St. Żukowskiego, St. Gałka (b. efektowne „Mgły nad Morskiem Okiem"), Józefa Wrzesińskiego.

Mniej licznie, niż dawniej reprezentowany jest portret *w plenerze*; mamy tu jednak kilka dzieł bardzo pięknych, niejedno ciekawe. Do pierwszych zaliczyć należy przedewszystkim trzy dzieła Vlastimila Hofmana: pełen ekspresji i mocy portret własny artysty, wiejska dziewczyna, przykuwająca głębią odczucia prostej duszy, wyrażoną po malarsku nader pewnie i szczerze, wreszcie dziecko modlące się na tle polnym („Przyjdź królestwo Twoje"). Bardzo dobrze zapowiada się talent Eugienjusza Kazimierowskiego: jego „Magda" na tle zieleni i „Główka" dziewczęca poza szlachetnością smaku wykazują ową dążność do własnego stylu, o której, jako o ważnym i nader pocieszającym zjawisku ostatnich czasów wspominam wyżej. Jana Skotnickiego „Żałobnicy" z fałatowskim śniegiem nie zdradzają zdecydowanej już indywidualności: artysta nie czuje jeszcze własnego wyrazu malarskiego. Jest na wystawie parę romantycznych malowideł: do nich zaliczę chybioną zupełnie „Salome" Piotrowskiego, Kazimierza Wasilkowskiego efektowny zresztą portret damy i „Pokusy", gdzie buro-czerwone płomienie, refleksy rozsypanych klejnotów u ogniska stanowią o nastroju kompozycji, niezbyt mocno zbudowanej. Do tej kategorji zaliczyć też trzeba wielki obraz J. Rapackiego, wyobrażający na tle polnego pejzażu kamienny ołtarz Matki Boskiej, w renesansowym stylu utrzymany: całość nie porywa i czyni wrażenie pracy obstalunkowej; koloryt szary i monotonny. Wolę pejzaże „czyste" tego malarza, śród których widzieliśmy nieraz prace istotnej artystycznej wartości.

Braku wielu wybitnych artystów krakowskich na tegorocznej wystawie nie powetuje nam Fałat swą dziwnie surową akwarelą („Ogród artysty") i portretami dzieci, ugrupowanych w niszy w sposób, niezdradzający tym razem wielkiego wysiłku twórczego.

Może najbogaciej przedstawia się w VI-ym Salonie portret. Mamy tu kilka doskonałych prac starszych artystów, mających już wyrobioną w tym zakresie sławę, jak Lenz, Stabrowski (b. ciekawy portret kostjumowej damy), Janowski, Axentowicz (skąpo tym razem reprezentowany), Krzesz i inni — lecz przedewszystkim zajmuje nas cała falanga młodych, któ-

rzy różnorodnością pojmowania portretu i rozmaitością środków malarskich czynią dział ten najbardziej może interesującym. Uderza przedewszystkim fakt niezawodny, że posiadamy całą grupę bardzo tęgich *portrecistek*: (wogóle kobiety przedstawiły dorobek jakościowo nader poważny). Melanji Mutermilchowej pięknie skomponowany portret kobiety w oknie, w jasnej sukni z dekoracyjną plamą jaskrawych tulipanów w wazonie, wykonany z pewnością siebie zgoła niepospolitą, świadczy nietylko o silnym opanowaniu techniki młodej artystki, lecz i o jej bardzo wyrobionym kulturą zachodnią smaku. Jej matka z dzieckiem, pojęta tragicznie odsłania inną stronę indywidualności p. M.: wystawienie jednoczesne tych tak odrębnych prac było pomysłem bardzo szczęśliwym.

Do artystek o dużym talencie i sprawności należy zaliczyć p. Münzer-Neumanową za jej elegancki portret damy w stroju wizytowym i scenę rodzajową bretońską, gdzie traktowanie efektów światła zdradza zupełną dojrzałość. Szlachetnie i pociągająco wygląda portret starszej damy pędzla p. Antoniny Dunin: jest w nim prostota i dyskrecja, godna podkreślenia. Zupełnie dobre są portrety p. Zofji Dembowskiej; główną ich cechą — wdzięk. P. Marja Koźniewska wystawiła dwa portrety męskie, sumiennie opracowane.

Mówiąc o kobietach, zaznaczyć tu muszę efektowne złocienie p. Maciejowskiej oraz p. Mrozowskiej martwe natury (żółte róże i japońszczyzna), gdzie znowu *dążenie do stylu* za największą uważam zasługę; a ślady tego są tu niewątpliwe. Z młodych malarzy Leopold Gottlieb dał ze zwykłym mu rozmachem a zarazem skłonnością do syntetycznego ujęcia malowany portret męski; Fr. Lipiec b. subtelny i ciekawy portret żony artysty (jeden z najlepszych na wystawie), Konstanty Brandel doskonały, traktowany mocno por. młodego człowieka; interesująca jest „Głowa" męska L. Machalskiego. Jakimowicz dał dwie manierycznie stylizowane, (jakby za szybą oświetloną widziane) głowy; uważam, że artysta ten zbyt uporczywie trzyma się swej dziwacznej metody.

Zupełnie stylowy jest pastel Ludwika Lewandowskiego (portret mężczyzny) i rokuje duże nadzieje; S. Bukowskiego młoda kobieta w ciemnej sukni (z Salonu *Soc. des Art. Français* 1909 r.) ma wdzięk i powab niemały. Z. Badowski dekoracyjnie traktuje swe portrety; dekoracyjność nie powinna go jednak doprowadzać do uchybień w rysunku, co rzuca się przykro w oczy w płótnie „Uria" (naga kobieta w ponsowym fotelu): ręka jej, wyciągnięta i oparta o poręcz, jest fatalnie „puszczona" — a szkoda, bo kompozycja jako zestawienie wielkich plam barwnych kolorystycznie jest ciekawa. Z tej też strony zajęlibyśmy się bliżej pracami pana Romualda Witkowskiego, który (jedyny na wystawie) reprezentować chce ostatnie kierunki malarstwa francuskiego; niestety, zbyt niewolnicze wzorowanie się na odkryciach Cezanne'a, Gauguin'a i wreszcie Matisse'a zwalnia nas od tego obowiązku.

Na szóstej wystawie dorocznej wspomniane nowe prądy w malarstwie poza p. Witkowskim zgoła nie są reprezentowane. Zjawisko znamienne.

Swan Black.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Bezwzględność i bezceremonialność Francuzów, gospodarujących w Zagłębiu Dąbrowskiem doszła do tego punktu, gdzie widocznie kończy się cierpliwość potulnie wszystko znoszących ofiar. Praca miejscowa coraz ostrzej protestuje przeciw temu, na co sobie pozwalają rabusiowskie instynkty przybyszów. Uważają oni oczywiście nasz kraj za rodzaj Afryki, gdzie mogą postępować, jak to bywa we zwyczaju wszystkich eksploatorów. „Przecież to nigdy nie będzie francuskie" — miał powiedzieć jeden z nich na zarzut, że nie dba o miejscowe potrzeby społeczne i kulturalne.

> Nie wiem — pisze korespondent *Gońca* warsz. — czy jest gdzie w kraju zakątek, w któryrnby więcej lekceważono pracowników i ich potrzeby, niż w naszych miljonowych francuskich zakładach przemysłowych.

Pomijam wyzysk pracy, nieuczciwe wprost wychodzenie z ludźmi, z których uzdolnienia i siły zyski się zbija, bo mniej więcej takie samo jest wszędzie stanowisko pracobiorców wobec pracowników, lecz niepodobna zamilczeć o tym, jakie nam wzory życia dają ci przedstawiciele kulturalnej Francji:

> Trudno sobie wyobrazić — pisze tenże korespondent w *Gońcu* — coś więcej wstrętnego i brudniejszego, jak był zgrubsza w tym roku odrestaurowany t. zw. dom koszarowy na Reducie, mieszczący kilkadziesiąt rodzin urzędników Polaków, lub niektóre domy, zapadnięte w ten sposób, że poziom ulicy wyższy jest od poziomu podłóg w mieszkaniach przynajmniej o łokieć. A nasze biura i wejściowe sienie fabryczne (będące zarazem poczekalniami dla interesantów)! Nieodświeżane od szeregu lat, z odpadającym tynkiem, brudnymi, z gruba tylko zamiatanymi podłogami, robią wrażenie nor niechlujnych. Reklamacje urzędników nie odnoszą żadnego skutku, a jedyną na nie odpowiedzią zarządu jest, że „gości w biurze nie przyjmuje się"... Groszo we te oszczędności odbijają się bezwątpienia na zdrowiu pracowników.

Za te miljony, które od nas wywożą, należałoby nam się trochę względności od panów Francuzów, zbyt łatwo widocznie nasiąkających metodami najbliższych swych sąsiadów.

* Żydowski *Hajnt* pomieścił odezwę p. t. „Dlaczego milczymy?", którą pisma warszawskie przytoczyły w dosłownym tłomaczeniu.

> Będąc w stałych stosunkach z Polakami - pisze jej autor — zauważyłem, jak dalece nienawiść do nas, żydów wzmaga się z dnia na dzień. Boli poprostu serce, gdy widzimy fałszywe pojęcia, jakie szerzą o nas w polskich pismach, które są pełne jadu przeciw nam. Pośród swych znajomych Polaków mam kilku, którzy z natury są bardzo porządnymi ludźmi, i nigdy nie słyszałem od nich takich zdań o żydach, jak w ostatnich czasach. I cóż dziwnego, jeżeli wśród wszystkich warszawskich pism polskich, niema nawet jednego, które byłoby usposobione liberalnie względem żydów, z wyjątkiem *Kurjera Warszawskiego,* który, żeby każdemu dogodzić, udaje, że nie wia o niczem. Zapytuję więc naszych działaczy żydowskich: dlaczego milczą? Jak długo będziecie stali i patrzyli, jak się zmyśla i szerzy o nas wszelkiego rodzaju fałsze? Czyż nie widzicie, do czego taka zjadliwa agitacja może doprowadzić?

Zdaje się autorowi odezwy, że związek, założony wśród żydów w celu walki z antysemityzmem, złagodziłby może coraz gwałtowniej szerzącą się niechęć obustronną.

* *Kurjer Lwowski* postawił pod pręgierz obyczaje Warszawy, tego przytuliska różnych ptaków niebieskich w rodzaju „b. obywateli ziemskich", którzy nietylko nigdy w życiu nie gospodarowali na wsi, lecz wprost nigdy na niej nie byli. Tytuł ten pomaga im jednak do zastawiania sideł na przyjezdnych, których następnie po gabinetach restauracyjnych, w mieszkaniach prywatnych lub w umyślnie na ten cel wynajętych pokojach hotelowych ogrywają doszczętnie.

Gra jest naturalnie oszukańczą, karty znaczone, a za kolację i światło „ograny frajer" musi jeszcze płacić oddzielnie.

W okolicach ul. „Marszałkowskiej — pisze *Kur. Lwow.* w pobliżu ulicy Pięknej pewna utytułowana wdowa, zajmująca się „stołowaniem", urządza wieczorki, poświęcone specjalnie hazardowi i miłości. Wieczorki te, mające w pewnych kółkach towarzyskich ustaloną renomę, odznaczają się tym, że wabikiem ich oprócz kart zazwyczaj znaczonych i układanych dla pewnych przyjaciół domu, są piękne i ponętne syreny półświatka warszawskiego, które uśmiechem, powłóczystym spojrzeniem, obiecującym giestem umieją skłonić trzymającego się zdala od zielonego stolika „gościa" do złożenia w ofierze „baccaratowi" lub „sztosowi" zawartości wypchanego pugilaresu. Interes „wdowy" świetnie prosperuje, gdyż poza umówionym procentem od wygrywającego, „utytułowana" wdowa ściąga poważne sumy za karty, kary, oraz za spożyte i wypite w towarzystwie pięknych syren ostrygi, szampana i t. p. akcesorja, towarzyszące nieodłącznie tego rodzaju „rendez-vous" hazardowo-miłosnemu. Poza syrenami, należącymi notorycznie do półświatka, wieczorki „utytułowanej" wdowy odwiedzają adeptki teatrów warszawskich.

Hazard odbywa się wyłącznie prawie w pierwszorzędnych zakładach tego rodzaju. Przed kilku zaledwie tygodniami w gabinecie restauracji pierwszorzędnego hotelu w okolicy Krakowskiego Przedmieścia zdarzył się skandal. Wciągnięci w grę „frajerzy prowincjonalni" spostrzegli, że są ofiarami oszustów, szulerów, ubranych według ostatniej mody i w przystępie podniecenia skutkiem przegranej i wypitego alkoholu, pobili sromotnie oszustów, poczym chcieli ich oddać w ręce policji, lecz takiemu heroicznemu postawieniu „sprawy" sprzeciwił się zarząd hotelu, dla którego ujawnienie „tajemnic gabinetowych" mogłoby przynieść nieobliczalne straty. Wobec zapewnienia ze strony wzmiankowanego zarządu, że na przyszłość szulerzy nie będą wpuszczani, ograbieni dali się ubłagać. Grę w hotelach również pierwszorzędnych organizują albo miejscowi szulerzy, albo szulerzy międzynarodowi, mający w Warszawie naganiaczów po cukierniach i po kawiarniach.

I dziwić się tu, że na odczytach, na koncertach, na poważnych przedstawieniach w teatrze — pustki. Zresztą było u nas tak zawsze mniej więcej. Znaliśmy takich dawniej, którzy prosto z dworca Wiedeńskiego szli do Stępkowskiego, przez trzy dni, nie wychodząc od niego grali przy zielonym stoliku, a czwartego wracali na kolej i do domu. Nie zmieniliśmy się nic przeto. Karty, wino i syreny — oto podarunek — najszlachetniejsze rozrywki naszych panów. I nietylko w mieście. Co się dzieje na wsi, opisywała niedawno pani Włodek w *Gazecie Warsz.* Tam przed karcącą obecnością na zebraniu towarzyskim starszych i rozważniejszych młodzież kryje się po szatniach i garderobach i przegrywa w bakarata całe majątki. Na co te winy spędzać na t. zw. byłych obywateli, kiedy rzeczywiści kubek w kubek potrafią to samo.

* Wszystkie czasopisma polskie przytoczyły spostrzeżenia z pobytu w Warszawie Grzegorza Pietrowa, byłego duchownego i byłego posła do Dumy, które były drukowane w *Russk. Słow.* Pietrow bawił u nas krótko, gdyż władze kazały mu wyjechać; więc nie można wymagać głębokości od jego obserwacji, a tymbardziej trafności; na ogół jednak to co mówi, świadczy o jego dobrej woli.

W Warszawie—pisze p. Pietrow—jak zresztą w całej Polsce, odczuwa się niewidoczny ale niewzruszony mur pomiędzy Polakami a Rosjanami. Polak nie pójdzie w Polsce do rosyjskiego teatru, na koncert rosyjski. Nie bierze do rąk gazety rosyjskiej, nie chce mówić po rosyjsku, nie odwiedza i u siebie nie przyjmuje Rosjan.

Ale, jeśli się zastanowić nad sytuacją Polaków, łatwo się zrozumie ich nastrój.

Polaków w Polsce rosyjskiej — przeszło dziesięć miljonów. Są miejsca (!?) zupełnie polskie. A tymczasem i w sądzie, i w szkole zmuszają Polaków mówić i uczyć się po rosyjsku. Zakazują im mówić po polsku; w gimnazjach jeszcze nie tak dawno karano dzieci, jeżeli poza nauką używały one języka ojca i matki. A Polak, ambitny i drażliwy, czuły na pieszczotę i na grubijaństwo, zamknął się w sobie.

Nie liryzmu słowiańskiego potrzeba, ale szczerej, pojednawczej, uczciwej polityki słowiańskiej. Potrzeba jak najbezstronniejszego zbadania stosunków polsko-rosyjskich, zrozumienia psychologji Polaków w przeszłości i teraźniejszości, potrzeba krytycyzmu w stosunku do Rosjan, mieszkających w Polsce.

My, mieszkańcy Rosji centralnej, nie znamy, niestety, Polski i Polaków. Ale niech się nie wyda dziwnym moje twierdzenie, że nie lepiej od nas znają Polaków i Polskę ci Rosjanie, którzy latami całymi przebywali w Polsce. Co więcej: oni to właśnie powodują coraz to nowe nieporozumienia polsko-rosyjskie. Sami oni nie znają i nie zdolni są do poznania Polaków, wprowadzają więc w błąd Rosjan, którzy nie bywają w Polce, a Polakom wpajają błędne pojęcie o całej Rosji. Dlatego też twierdzę, że w Warszawie, prędzej niż w Pradze, Moskwie, Sofji lub Belgradzie, potrzebny byłby zjazd wszechsłowiański. Nie dla załagodzenia nieprzyjaźni polsko-rosyjskiej: nieprzyjaźń — to zastarzała choroba; zjazdami trudno ją uleczyć. Ale zjazd dopomógłby Polakom do spotkania się oko w oko i do zapoznania się bezpośredniego.

Rzecz przytym ciekawa, jakim się p. Pietrowowi wydaje Polak.

Nieprzyzwyczajone ucho rosyjskie—czytamy—chwyta odrazu w mowie polskiej wielką mnogość dźwięków nosowych. Zupełnie jak w języku francuskim. Jest w tym coś wspólnego z kogutem gallijskim. Jest zarozumiałość, pewna wyniosłość, pogardliwe traktowanie innych. A przytym te syczące dźwięki: źźź! szszsz!

Mówiący niby się ślizga po jakiejś powierzchni. Z gwizdem, lekko i szybko przelatuje obok. Nie zatrzymuje się długo na kwestji i nie zagłębia w niej.

Takim jest Polak zewnętrznie. Takim samym jest on w literaturze, w sztuce, w prasie, w pracy myślowej. Wiele elegancji, wyrafinowanego gustu, dowcipu, ale głębi, serdecznej męki i tęsknoty do zagadnień bytu w nich nie szukać.

W końcu jednak dodaje:

Kiedy się człowiek postawi na miejscu Polaka, kiedy sobie przypomni, jak obca stopa deptała najpiękniejsze kwiaty ducha, wtedy jasnym się staje, dlaczego zamknął się Polak przed Rosjaninem. Wtedy człowiek rozumie, że nieprzyjaźń polsko-rosyjska — to ciężka, zastarzała choroba, którą zrodziła walka i ucisk...

Konkurs im. Słowackiego.

W dniu 24 b. m. rozstrzygnięty został konkurs dramatyczny im. Juljusza Słowackiego, ogłoszony przez *Kurjer Warszawski.* Nagrodę w sumie rb. 1000 przyznano „komedji heroicznej" *Ignacego Grabowskiego* p. t. „Sokół". Prócz tej nagrody, przyznano drugą, dodatkową, w sumie rb. 500 sztuce *Wincentego Kosiakiewicza* p. t. „Dzwonnik".

KRONIKA.

ZAMKNIĘCIE OSTATNIEJ „OŚWIATY" NA LITWIE. Na posiedzeniu d. 30 grudnia r. z. miński urząd gubernialny do spraw stowarzyszeń wszystkimi głosami przeciw 2 głosom polskim postanowił zamknąć ostatnie na Litwie Towarzystwo „Oświata" w Nieświeżu. Główną

przyczyną zamknięcia był znany ukaz Senatu w sprawie „Oświaty" kijowskiej, który dał pośrednio zasadniczą dyrektywę wszelkim urzędom Litwy i Rusi co do stanowiska, jakie zająć mają w sprawach polskich stowarzyszeń oświatowych. Formalnym zaś powodem było ujawnienie dwuch szkółek, których nauczycielki zeznały, że działały z ramienia Kopylskiego oddziału Towarzystwa „Oświata" w Nieświeżu.

ZAMKNIĘCIE „MACIERZY MAŁOROLNYCH". „Macierz Małorolnych" zawiązana w Płocku z inicjatywy p. Zdziarskiego, została zamknięta na mocy Ukazu Senatu. „Macierz małorolnych", jak informuje *Głos Płocki*, miała na celu ułatwianie i pośrednictwo parcelacji dworskich obszarów pomiędzy włościan, usunięcie spekulantów — parcelatorów, wyzyskujących niemiłosiernie chłopa i powstrzymanie niemieckiej kolonizacji na pograniczu Prus. Niestety, podzieliła los „Macierzy Szkolnej", „Towarzystwa Wpisów Szkolnych", „Oświaty" na Litwie i Rusi, zanim jeszcze przystąpiła do działania. Powodów zamknięcia „Macierzy małorolnych", pisma mi podają.

REPRESJE W R. 1909. Jak oblicza *Riecz*, sądy wojenne w 1909 r. wydały 1435 wyroków śmierci. Najwięcej wyroków śmierci wydano w Jekaterynosławiu — 205. Następnie idą: Warszawa (106), Kijów (93), Charków (65), Tyflis (57), Moskwa (54), Saratów (53), Tambow (40), Wilno (38) i t. d.

Z wyroków sądu wojennego stracono 549 osób. Ze względu na liczbę wykonanych wyroków pierwsze miejsce zajmuje Jekaterynosław. Stracono tutaj 75 osób. Następnie idą: Odesa (31), Saratów (28), Warszawa (28), Kursk (20) i t. d. Według poszczególnych miesięcy najwięcej wyroków wykonano w styczniu (95), najmniej w październiku (29).

Kary prasowe w r. 1909 dosięgły sumy 87,375 rb.; ogólna ich liczba wynosiła 182. Najwięcej zapłaciła prasa petersburska; zaregestrowano tu 39 kar na sumę 29,900 rb. Najwięcej, bo 12,350 rb. zapłaciła prasa rosyjska za artykuły w sprawie Azefa. Sprawa Hartinga kosztowała nieco taniej. W r. 1909 liczba zesłańców politycznych zmniejszyła się. Według danych ministerjum spraw wewnętrznych w r. 1909 zesłało pod jawny nadzór policji do gubernji oddalonych 2,200 osób, podczas gdy w r. 1908 zesłano 10,166 osób, a w. 1907—8,130 osób. W dn. 14 listopada 1909 r. ogólna liczba zesłańców politycznych, według danych ministerjum spraw wewnętrznych, wynosiła 22,568, nie licząc tych, którzy zostali zesłani z wyroków sądowych.

W ŁOWICZU—czytamy w *Kalendarzu Ziemi Łowickiej* — istnieją dwie polskie szkoły średnie prywatne: siedmioklasowa szkoła handlowa męska i siedmioklasowa szkoła handlowa żeńska. W szkole handlowej męskiej, założonej w 1906 r., czynnych już jest sześć klas, oprócz wstępnej. W pierwszych latach szkoła miała 200 uczniów z górą, w roku 1908/9 zaledwie 100; obecnie ma 133 uczniów. Budżet szkolny przewiduje w wydatkach 18,000 rb., w dochodach: a) z wpisów 9,000 rb; b) z zapomóg Rady Opiekuńczej 9,000 rb. Wpisy wynoszą 50 rb. w klasie wstępej, 70 rb. w I, II, III, 80 rb. w IV, 100 w V i 120 w VI. Nauczyciele pobierają od 50 do 75 rb. za godzinę rocznie.

Szkoła handlowa żeńska powstała w 1908 roku, ma czynne pierwsze cztery klasy oraz wstępną. W r. b. szkoła ma 92 uczennice.

Koszta utrzymania szkoły w b. r. szkolnym obliczone zostały na 4,000 rb. Nauczyciele pobierają rubla, a nauczycielki pół rubla za godzinę. Wpis wynosi w klasie wstępnej 4 rb., w klasie I, II — 5 rb., w III — 6 rb. i w IV — 8 rb. miesięcznie. Rada Opiekuńcza szkoły zgodziła się na zwolnienie częściowe lub zupełne od wpisu 13 proc. ogólnego dochodu szkoły.

W rządowej siedmioklasowej szkole realnej z klasą wstępną jest 290 uczniów; katolicy stanowią 50 proc., prawosławni 22,1 proc., żydzi 17,9 proc., ewangielicy 9,3 proc., marjawici 0,7 proc. Charakterystycznym jest, że kiedy w klasie wstępnej na 42 uczniów było 2 żydów, w klasie IV na 26 uczniów było żydów 10, a w klasie VII na 22 uczniów było 12 żydów, 6 katolików i 4 prawosławnych. W 1908/9 r. Skarb wydał na utrzymanie szkoły 33,841 rb. 24 k., z wpisów zaś wpłynęło 9,761 rb. W r. b. z powodu zwiększonej frekwencji budżet przewiduje 14,000 wpływu z wpisów. Opłata szkolna wynosi 60 rb. rocznie.

W Progimnazjum rządowym żeńskim, które otrzymuje od miasta 1,000 rb. zapomogi, jest w r. b. 130 uczennic: katoliczki stanowią 41,5 proc., żydówki 26,1 proc., prawosławne 23,9 proc., ewangieliczki 8,5 proc. Opłata wynosi 40 rubli rocznie.

ZAMKNIĘCIE ZWIĄZKU ZAWODOWEGO „JEDNOŚĆ". Zalegalizowane w 1906 r. Stowarzyszenie robotników przemysłu włóknistego w Królestwie Polskim „Jedność" zostało zamknięte na ostatnim posiedzeniu z d. 22 b. m. Piotrkowskiej komisji gubernialnej do spraw stowarzyszeń i związków.

„Jedność" liczyła około 4,000 członków w Łodzi, Warszawie, Żyrardowie, Tomaszowie, Pabjanicach, Zgierzu, Zduńskiej Woli, Kaliszu, Zawierciu, Częstochowie i Sosnowcu. „Jedność" starała się zawsze stać na gruncie legalnym i przetrwała okres najostrzejszych represji w Łodzi podczas stanu wojennego.

Jak donoszą dzienniki, „Jedność" zamknięta została na zasadzie par. 35, na mocy którego ulegają zamknięciu stowarzyszenia „zagrażające spokojowi i bezpieczeństwu publicznemu, lub też przybierające jawnie niemoralny kierunek".

Bezpośrednią przyczyną zamknięcia „Jedności" było wydanie odezwy do robotników w Tomaszowie, nawołującej ich do zapisywania się do Stowarzyszenia dla kulturalnej obrony swych praw.

Nadmienić należy, że inspektor do spraw prasowych gub. Piotrkowskiej najprzód pozwolił na ogłoszenie odezwy, a następnie polecił skonfiskować numer organu „Jedności", który tę odezwę przedrukował.

NACJONALIZM ŻYDOWSKI NA PROWINCJI. Założona w październiku 1908 r. w Łowiczu Czytelnia i bibljoteka żydowska prenumeruje dla swoich 120 czytelników — jak donosi *Kalendarz Ziemi Łowickiej* — cztery nacjonalistyczne dzienniki żargonowe warszawskie: *Unsez Leben*, *Hajnt*, *die Naje Welt* i *Frajnd*, dziennik wileński habrajski *Hajd—Hazman*, tygodnik wileński hebrajski *Hasłam*, miesięcznik społeczno-naukowy wileński *Leben und Wissenschaft* i *Razswiet* petersburski. Pism polskich czytelnia nie abonuje wcale.

FEMINISTKA—HAKATYSTKA. Pisma codzienne ogłosiły list Zarządu Sekcji Równouprawnienia Kobiet Polskich w Petersburgu. List ten z nieznacznymi opuszczeniami brzmi:

„W listopadzie 1909 roku p. Kati Schirmacher wygłosiła w Petersburgu z powodzeniem szereg odczytów o kobiecej kwestji, a specjalnie o położeniu kobiet robotnic. Grupa kobiet polskich, wiedząc o udziale p. Schirmacher w ruchu hakatystycznym w Prusach, postanowiła zainterpelować ją w tej kwestji.

Odpowiedź p. Schirmacher wyjaśnia, zdaje się dostatecznie, że uważa ona za możliwe głosić hasła o wyzwoleniu człowieka, a jednocześnie poniewierać i deptać najelementarniejsze prawa obywatelskie i ludzkie... My, również zwolenniczki sprawy kobiecej, inaczej na te kwestje patrzymy.

Do ideału swobody dążyć winny jednostki i narody, a ucisk sprawy wolnościowej w jednej dziedzinie cofa ją na wszystkich punktach.

My kwestji kobiecej i kwestji narodowej nie rozłączamy, tylko nasz patryjotyzm jest zarówno ukochaniem kraju, jak i poszanowaniem praw każdej jednostki i dążeniem do wewnętrznego doskonalenia się; dlatego względem pseudo-wolnościowego stanowiska p. Schirmacher mamy jedynie słowa oburzenia i pogardy.

Przewodnicząca *Zofja Sadowska.*
Sekretarka *Aniela Jabłońska.*

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy”
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 11—1 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.